

Chotnicka

PRISMO P.S.K.

Rok III

Grudzień 1945 r.

Nr 12 (27)



POMNIKI — CZY LUDZIE?

Pamiętam ten ponury dzień w Krakowie, gdy rozeszła się po mieście szybko podawana z ust do ust wiadomość o rozbiorze pomnika grunwaldzkiego. Było to w początkach okupacji niemieckiej, bodaj jeszcze w roku 1939.

Istotnie. Spora część Placu Matejki (nie przezwanego jeszcze po niemiecku) zatarasowało ogromne rusztowanie. Zwożono sprzęt murarski. Stał jeszcze co prawda na wysokim cokole brązowy król Jagiello — ale spod jego stóp usunięto już powalonego Ulyka von Jungingen... Niesposób odmienić wydarzeń przeszłości, więc starano się bodaj zatrzeć pamięć o nich.

Daleko większych dzieł zniszczenia potrafił jak wiadomo, dokonać technika współczesna — cóż to jest zburzyć pomnik! Chodzili zatroskani krakowianie wokół rusztowania — ale nic nie mogli poradzić. Rozsadzili Niemcy gazy granitowe i pocięli na kawałki brązowego jeźdźca wraz z rumakiem. Popłakiwali więc krakowianie: — był Jagiello — nie ma Jagielly...

Nieco później zniknął w ten sam sposób Mickiewicz z krakowskiego rynku i Szopen z parku w Łazienkach warszawskich. To samo działo się w setkach innych miast i miasteczek na całym obszarze Rzeczypospolitej.

Po pomnikach przyszła kolej na wyużywanie tablic pamiątkowych i na przemianowywanie ulic. Głupi Niemcy wyobrażali sobie, że jeżeli zburzą nasze pomniki, zniszczą albo ukradną nasze archiwa, biblioteki i dzieła sztuki — (np. całą naszą rzeźbę gotycką z witaśwoszewym ołtarzem Mariackim na czele) — to usuną w ten sposób raz na zawsze polski wkład do kultury europejskiej, a wtedy — tak sądzili — poradzą sobie z nami już łatwiej.

Gdy praca ta została ostatecznie wykonana — (z przysłowiową niemiecką gruntownością — nie było już w całej Polsce ani jednego pomnika króla Jagielly, za to niemal w każdej Koziej Wólce mieliśmy już szczęśliwie Adolfa Hitlera Platza i Siegesallee...) — przetoczyło się właśnie koło historii. Wraz z nim przetoczyła się też przez Polskę — (przez te niezliczone Siegesallee...) — pobita i uciekająca armia niemiecka...

Zniszczenia dokonane w latach 1939-45 przez Niemców i Rosjan w na-

szym dorobku kulturalnym dorównują, a może nawet w swej doniosłości przewyższają nasze straty materialne. Gdyby nam dzisiaj przyszło wylegitymować naszą przynależność do rodziny narodów kulturalnie aktywnych jedynie tylko dokumentami i dziełami sztuki — staręli byśmy zapewne w rządzie ubogich krewnych. Na szczęście istnieją jeszcze inne miary wartości.

Pisarz angielski G. K. Chesterton na jednym ze zjazdów PEN-Clubów w dyskusji na temat tzw. ciągłości kulturalnej twierdził uparcie (wbrew oczywistości), że największa ilość pomników rzymskich zachowała się nie we Włoszech, ale w Anglii.

— Jakichże to pomników? — zapytano go gniewnie. Wjädomo bowiem, że zabytków rzymskich jest w Anglii w istocie bardzo niewiele.

— Żyjących pomników! — odpowiedział tryumfalnie swoim tubalnym głosem. — Nasze prawa obywatelskie, nasz stosunek do ludów przez nas podbitych, nasze urządzenia imperialne, nasz dobrobyt, nasza wspólnota kulturalna, wreszcie samo nasze imperium... to jest przecież

CZEMU NIE W CHÓRZE...

*Spiewają uciąż wybrani
U żłobu, gdzie jest Bóg,
Lecz niłczą zadyszani,
Wbiegając w próg...*

*A cóż dopiero owi,
Co ledwo wbiegli w ucieś,
Gdzie jeszcze ucho łowi
Niewinią rzeź!*

*Spiewajcież, o wybrani,
U żłobu, gdzie jest Bóg!
Mnie jeszcze ucho rani
Pogoni róg...*

*Spiewajcież w chór zebrani!
Ja zniesząc mógłbym śpiew
Tryumfującej litanii:
Jam widział krew!*

Cyprian Norwid

Rzym, najczystszy Rzym z okresu swojej świetności...

Nie wiem czy słowa tu przytoczone odpowiadają literalnie wywodowi Chestertona. Myśl jego jednak, jak mi się wydaje, została tutaj wyrażona ściśle. Człowiek, sam człowiek jest najwyższą wartością kulturalną. Urządzenia społeczne, idee, które je ożywiają, myśli, które nam chodzą po głowie, uczucia i namiętności, które są motorami naszych czynów — oto, co jest ważniejsze, niż pomniki, mury, a nawet książki i obrazy.

Jeżeli zastosujemy tę — chestertonowską — miarę wartości do polskiego wkładu w kulturę ogólnoludzką — to cóż, w rzeczy samej, wnieśliśmy do niej? Odpowiedź dają bez trudu dzieje nasze. Wszystko rzucaliśmy zawsze na szalę walki o wolność. Dla niej, w jej obronie, bądź też w walce o nią straciliśmy obecnie nie tylko miliony istnień, ale także niemal cały nasz materialny i artystyczny dorobek kulturalny. Namiętne, bezkompromisowe umiłowanie wolności, upowszechnienie umiłowania wolności we wszystkich warstwach narodu — oto, jak mi się wydaje, polski wkład do kultury ogólnoludzkiej.

W takim pojmowaniu dialektyki dziejów nie ma napewno lekceważenia Jagielly, Kopernika, Wita Stwosza, czy Skłodowskiej. Ale ludzimi, chociażby najwybitniejszym, można zawsze mniej więcej przeciwstawić — innych ludzi. Rzeźby, obrazy, gmachy piękne, melodie, mądre książki, orężne zwycięstwa... Od wszystkich można sobie wyobrazić jeszcze piękniejsze, jeszcze mądrzejsze. Jeszcze się bowiem taki — jak wiadomo! — nie narodził, co by wszystkim dogodził. Ale — wolność... Byli niewolnicy z G.G. — byli „obywatele” Z.S.R.R. — byli lokatorzy wszystkich więzień, „lagrów” i „tagrów” — pomyślcie: wolność...

Niemasz dla nas ponad nią nic — i nie ponad nią dla nas nigdy nie będzie!

Wiesław Wóhnow

NA OKŁADCE — Beato Angelico: „Narodziny Pana Jezusa”. (Muzeum św. Marka w Florencji).



Konferencje, konferencje...

INTERMEZZO (OD JAŁTY DO POCZDAMU)

Walka polityczna roznamiętnia. Uwikłani w wir wydarzeń i wypadków, będąc ich żywym, czującym i reagującym obiektem — łatwo tracimy bezstronność stajemy się niezdolni do spojrzenia z perspektywy na tok spraw. Popadamy w błąk tzw. historycznego podejścia do bliższej nam rzeczywistości. Ale nawet wówczas możemy, zdaje się, powiedzieć bez obawy, że popełnimy błąd, jeżeli rok 1945 przejdzie do dziejów ludzkości, jako jeden z najbardziej przełomowych. I może nie popełnimy też żadnego błędu, określając go, jako rok dziejowych przeznaczeń.

Kamienie przydrożne, znaczące jego szlak i krwawy i mroźny — to i konferencja jałtańska, która tak bardzo zaważyła na losie Polaków i upadek dwu wielkich mocarstw — Niemiec i Japonii — i podjęta w San Francisco próba utworzenia nowej, lepszej Ligi Narodów i Poczdami i nieudała konferencja londyńska i bomba atomowa i wrzście 12 punktów Prezydenta Trumana. Jeżeli dodamy do tego wszystkie te trudności natury moralnej i gospodarczej, jakie musiały przynieść z sobą zakończenie wojny tak gigantycznej — możemy bez ryzyka powiedzieć, że

ludzkość, a wraz z nią jej cząstka — naród polski — ugina się pod ciężarem zagadnień, których rozwiązanie niemal nie jest w stanie.

Klęską mocarstw osi była już zupełnie wyrażona i stanowiła już tylko kwestię czasu, gdy w lutym b.r. zebrała się w Jałcie „wielka trójka” — poraz ostatni w składzie Roosevelt, Churchill, Stalin. Uchwaliły tej konferencji ciężką po dziś dzień nad całym światem i gorzką zaciążyły również nad losami Polski.

Jałta była generalną kapitulacją demokratycznych partnerów wobec totalistycznego sojusznika. Zakulisowy przebieg dyplomatycznych rozmów na Krymie otoczony jest do dziś głęboką tajemnicą i rąbek tej tajemnicy nie przednicą i rąbek będzie uchylony. Stara ko pewnie będzie uchylony. Stara prawda, że demokrację zachodnią są wobec dyktatur silniejszą niż możliwościami militarnymi, niż dyplomatycznie. Jałtę wygrał Stalin. Do czasu konferencji krymskiej wielkie demokracje oświadczyły, że walczą o wolność małych narodów. W Jałcie — zanim jeszcze zakończyła się wojna — Roosevelt i Churchill wyparli się swego własnego dziecka — karty atlantyckiej. Hadesa wolności małych narodów poszły w ką. Ukazał swe oblicze

trójimperializm. Uznano, że małe narody sprawują tylko zamierzanie i kłopot, postanowiono więc, że losami ich rządzą będą wielkie mocarstwa, aby był utrwalony pokój na świecie. Od karty atlantyckiej zachodni mężowie stanu przeszli gładko do stworzenia nowego „Świętego Przymierza”. Ale zarazem popełnili błąd, którego skutki nie dają na sobie długo czekać. Dopuścili do podziału świata na strefy wpływów. Strefy wpływów — to bloki polityczne. Bloki polityczne — to w bliższej lub dalszej przyszłości — trzecia wojna światowa.

Nam, Polakom, dała Jałta przehandlowanie ziem wschodnich Rosji — naturalnie bez naszej zgody i woli. Dała dalej osławioną formułę jałtańską utworzenia „rządu jedności narodowej” w Polsce a w następstwie czynienie uznania Rządowi londyńskiemu. Jałta dała nam rzycharowanie — miast radości czyniła, dalszą niewolę — zamiast niepodległości, sowietyzację Kraju — zamiast demokracji.

Wnet po Jałcie nastąpił zupełny podbój Niemiec przez aliantów, niosąc za sobą ten zamęt i te wszystkie skutki gospodarcze, jakie musiało wywołać runięcie największego państwa na kontynencie europejskim i dodajmy państwa najbar-

dziej na kontynencie uprzemysłowionego.

Berlin, ostatni bastion Niemiec, padł pod ciosami sprzymierzonych, gdy w San Francisco zebrała się konferencja zjednoczonych narodów. Polski — wielkiej ołtarzniczki w walce o sprawiedliwość dziejową i wolność — na konferencji tej nie było z powodu zatargu mocarstw jaltańskich o to, jaki rząd ma ją reprezentować. Polaków o to pytać nie chciano. I już w czasie obrad w San Francisco okazała się schyzma słowacka. Sowiety zżady stynnego prawa „veta” które w rzeczywistości podcinało już w początkach zdrowy sens i możliwość istnienia takiej międzynarodowej instytucji, jaką w San Francisco usiłowano stworzyć. W rezultacie raz jeszcze zwyciężył upór Moskwy. Dla świętego spokoju uchwalono prawo „veta” wprowadzić w zawołowanej formie, ale jednak — prawo „veta”!

Zaraz potem wyłonili się między krymskimi partnerami takie różnice poglądów na formy administrowania Niemcami, na zagadnienie Bałkanów i cieżnisk morskich i na wiele innych kapitałnych zagadnień, że okazała się potrzeba nowego spotkania trzech. Oddech Jałty starczył zaledwie na pół roku. Ale ze starej trójki pozostał na placu tylko Stalin. Roosevelt zmarł w kwietniu, Churchilla zaraz na początku konferencji w Poczdanie wysadził z premierowskiego siedła wynik wyborów parlamentarnych, oddając władzę nad Anglią w ręce labourystów. Protokół konferencji poczdamskiej podpisali więc Truman, Attlee i Stalin. W żadnej zasadniczej kwestii konferencja nie doszła do porozumienia — w długim, dwa tysiące słów liczącym, komunikacie zajęto się przeważnie sprawą alianckiej administracji w Niemczech — pomijając drażliwe kwestie Bałkanów i Dardaneli.

Niebawem po konferencji poczdamskiej Ameryka i Anglia zastosowały w wojnie z Japonią nową broń: bombę atomową. Świat stanął na przelomie dwu epok i oddał nad wszystkimi poczynaniami dyplomatów ciężą bombę atomową, ów przewrót w stosunku człowieka do materii, który zastosowany do celów pokojowych może być dobrodziejstwem, zupełnie jednak zniweczeniem naszej cywilizacji, skoro energia atomowa zużyta zostanie do celów wojny. Dyplomaci mocarstw od chwili tego przełomowego odkrycia zachowują się tak, jakby znane im były owe słowa, umieszczone w średniowiecznej księdze „Turba philosophorum”: — „Zakrył Bóg przed ludźmi tajemnicę uranowej materii, aby świat nie uległ zagładzie”. Obecnie tajemnica ta już nie istnieje. Świat jest zagrożony.

Oczywiście cały świat zadaje sobie pytanie, czy Rosja posiada bombę atomową? A jeżeli jej nie posiada, to kiedy ją posiadać może? Czy Ameryka i Anglia podzielią się z Rosją tajemnicą złowrogiego odkrycia? Czy też wyszyskają atuty, jakie im daje pierwszeństwo dokonania

tego wynalazku. W tym stanie rzeczy zebrała się we wrześniu konferencja w Londynie, podczas której ministrowie pięciu mocarstw mieli przygotować traktaty pokojowe z Włochami, Węgrami, Rumunią, Bułgarią i Finlandią. Konferencja ta wykazała, że to, co uchwalono w Jałcie, co potem grubymi niemiłanym w Poczdanie — uległo w Londynie zupełnie jawnemu rozdarciu. Londyn ujawnił całkowicie bankructwo polityki zachodnich aliantów wobec Sowietów. Bankructwo polityki ustępstw! Rozchwaloła Rosja wysunęła nowe żądania: Dardanele, administracja Trypolitanii, punkty oparcia na wyspach Dodekanezu i na Morzu Czerwonym, współadministracja pobitą Japonią. Logiczne następstwo Jałty — rozpadnięcie się świata na bloki wystąpiło w całej pełni. Ale podczas gdy Rosja uważa Bałkany za należące do bloku wschodniego i mówi zachodnim aliantom: „wara wam mieszać się do spraw bałkańskich!” — ta sama Rosja uważa jakakolwiek łączność państw zachodnio i poruđniowo-europejskich za blok, wymierzony przeciw sobie. Wreszcie Rosja domaga się nieustannie wyjaśnienia tajemnicy bomby atomowej.

Konferencja londyńska uległa jawnemu rozpiciu. I znowu zastanawia się świat, czy zachowanie Rosji w Londynie wypływało z poczucia siły, czy też było bluffem, za którym kryje się słabość.

Gdy tylko nastąpiło zerwanie konferencji londyńskiej, mocarstwa demokratyczne przystąpiły do kontrakcji. Prezydent Stanów Zjednoczonych, Truman, ogłosił 12 punktów uporządkowania świata, które odąd mają się stać zasadniczą wytyczną amerykańskiej polityki zagranicznej. 12 punktów Trumana — to nie innego, jak wyrażona próba powrotu do wzgardzonej karty atlantycznej. Na konferencji Trumana z Attlee i premierem Kanady postanowiono utrzymać tajemnicę wytwarzania energii atomowej. „Święte Przymierze”, zawarte w Jałcie nie przetrwało roku.

Ale, niestety, trwają jeszcze skutki

PRZYPOWIEŚĆ

Zbiorą się z podań, ze ścian,
z drzeworytów
świątki, kolędy, i sny malowideł,
Lud przypowieści, prorocтва i mitów —
Zbrojna rodzina wśród mieczów i skrzydeł.
Zbiegną się wszyscy, pastuchy i króle,
Za nieopojętą na świecie podniecią
I moc struchleje i w nieba kopule
Znak się objawi wędrowną komętą.

I wszyscy staną z nowiną stuleci,
Święci na chmurach i ludzie zwyczajni:
Sprawdzą się prawdy i tuna zaświeci
I pożar zacnie się znowu od stajni.

Kazimierz Wierzyński

zgubnych postanowień konferencji w Jałcie. Trwają one przede wszystkim w stosunku do nas. I dopóki nie będą obalony — zło będzie trwało i wydawać owoce.

Przebiegliśmy pośpiesznie od jednego do drugiego kamienia milowego owego roku, pełnego dziejowych zdarzeń. dopełnijmy jeszcze obrazu tym, że w państwach Zachodu zwyciężają przy wyborach socjaliści, orientujący się wyraźnie przeciw totalizmowi sowieckiemu. Druga międzynarodówka mobilizuje się przeciwko trzeciej. I rzecz charakterystyczna — skio już użyliśmy słowa „mobilizacja” — o ile po tamtej wojnie światowej od pierwszej chwili mówiono dużo o rozbrojeniu, nikt nie mówi o rozbrojeniu po zakończeniu wojny obecnej. Wyścig zbrojny trwa. Trwa produkcja bomb atomowych w Ameryce — a może i poza Ameryką. Świat nie wraca do norm pokojowych. Odbudowa jest raczej pustym słowem. Wszyscy czują — mniej lub więcej świadomie — że to nie pokój, ale — intermezzo!

O Polsce mało mówiono w ciągu 1945 roku. Szczególnie po utworzeniu „rządu jedności narodowej” i rzuceniu prepołowiej Polski na łup sowiezacji — starano się mówić o nas jak najmniej. Popelniono wobec Polski zły czyn. Złe czyny lubią otaaczać się milczeniem. Mimo to sprawa Polski istnieje. Dla nas jest ona zagadnieniem biologicznego wytrwania narodu i zagadnieniem materialnego bytu. Dla reszty świata jest to zagadnienie przede wszystkim moralne. Bo nie można sądzić w Norymberdze pana Goeringa za inicjatywę tworzenia obozów koncentracyjnych, pana Hansa Franka za tępienie Polaków — i tolerować równocześnie, by w trybunale sądzącym zasiadali przedstawiciele tego państwa, które robi to samo i u siebie w domu i w okupowanej Polsce. Nie można potępiać Oświęcimia i stu innych niemieckich Oświęcimów — rozgrzeszając Katyń!

My — Polacy — czekamy. Historia nauczyła nas umiejętności czekania. Polacy w Kraju zajęli stanowisko wobec rządu Bieruta i Osóbki. Jest to stosunek negacji. My, Polacy na emigracji, zajęliśmy również jasne, polityczne i pełne honoru stanowisko.

Bez przesady i bez obawy kierowania się nielogicznym optymizmem, możemy sobie powiedzieć, że o ile w pierwszej połowie roku 1945 szale nasze opady bardzo nisko — bodaj najniższej — obecnie drgnęły już znówu i zaczynają się powoli, bardzo powoli podnosić. Nie mamy jednak się szybkich zmian. Bądźmy w naszych politycznych dążeniach długodystansowcami. Jest to najlepsza nauka, jaką możemy wziąć od naszych angielskich sprzymierzeńców i kombatantów. Na progu nowego roku stajemy wobec tego pocieszając

jego faktu, że mocarstwa zachodnie tracą już zupełnie wyraźną wiarę, iż można współżyć z czerwonym faszyzmem rosyjskim. Już dziś toczy się cicha wojna między Anglosasami a Rosją i w Chinach i w Persji. Ale może jeszcze dużo

„ŚWIĘTE POWIERNICTWO”, OKUPACJA I KARTKA WYBORCZA

(Miesięczny przegląd wydarzeń)

Losy „świętego powiernictwa”

Od obrad anglosaskiej wielkiej trójki w Waszyngtonie oczekiwano wiele. Jeden wynik jej nie ulega wątpliwości. Godząc się w zasadzie z poglądem, że tajemnicy bomby atomowej nie będzie można utrzymać zbyt długo jako monopolu mocarstw anglosaskich, na razie jej nie ujawniono. Komunikat oficjalny głosił: „Nie uważamy, by rozpowszechnienie specjalnych wiadomości dotyczących stosowania praktycznego energii atomowej zanim będzie można znaleźć realne, wzajemne i mocne rękojmię możliwe do przyjęcia przez wszystkie narody, przyczyniło się do konstruktywnego rozwiązania zagadnienia bomby atomowej. Przeciwnie, uważamy, że takie rozpowszechnienie wiadomości mogłoby doprowadzić do następstw odwrótnych od zamierzonych”.

Moskwa pominęła milczeniem, wżędnie wymiana gróźb anglosaskie zaproszenia do „rzucenia otwartych kart na stół”, do wytworzenia warunków, w których byłoby możliwe ujawnienie na zasadach wzajemności wynalazków wojennych.

Natomiast, oskarżając anglosaskie mocarstwa o prowadzenie polityki zagranicznej przy pomocy gróźb użycia bomby atomowej, właśnie Moskwa prowadzi nadal bunczuczną politykę zaczepną, jak gdyby nie mocarstwa anglosaskie, lecz ona miała przewagę posiadania tajemnicy bomby atomowej. Trudno oczywiście winić o taki stan rzeczy Moskwę...

Oświadczenie waszyngtońskie głosiło: „Uznajemy, że zastosowanie ostatnich odkryć naukowych do metod prowadzenia wojny oddało w ręce ludzkości narzędzia niszczenia dotychczas nieznaną, przeciwko którym nie ma żadnych dostatecznych środków w obronie wojskowej, a w ich zastosowaniu żaden naród nie może utrzymać monopolu”.

Zatem? — „Jedyną ochroną skuteczną dla cywilizowanego świata przed niszczycielskim użyciem odkryć naukowych — czytaliśmy w punkcie trzecim waszyngtońskiego komunikatu — jest zapobieżenie wojnie”. I dalej: „Nie można wynaleźć żadnego systemu gwarancji, któryby efektywnie zapobiegł produkcji broni atomowej przez państwo mające zamiary agresywne, w szczególności dlatego, że wojskowe wykorzystanie energii atomowej zależy w większości od tych samych metod i procesów, co zastosowanie jej dla celów przemysłowych”.

Można zaryzykować twierdzenie, że pragnące uniknąć wojny mocarstwa anglosaskie po krytycznych wynikach z

czasu upłynąć nim Ameryka i Anglia dojdą do wyciągnięcia pełnych konsekwencji ze swej omyłki, z próby traktowania totalizmu rosyjskiego inaczej, niż totalizmu Włoch i Niemiec, czy też kastowego militarysty Japonii.

Pamiętajmy! To, co się dzieje obecnie — to intermezzo. Gotujmy się spokojnie i poważnie na wielką chwilę, gdy intermezzo się skończy.

Roman Dąbrowski

Wielką Trójką jako narzędziem utrzymania pokoju, poszukują (całe to „poszukiwanie” może zresztą jeszcze skończyć się prosto... następnym spotkaniem któregoś z garniturów „Wielkiej Trójki”) w tej chwili nowego narzędzia w postaci organizacji narodów zjednoczonych, dla której Wielka Trójka (ale anglosaska) na waszyngtońskim „seminarium” przygotowała taktykę postępowania na okres najbliższy. Pojawili się więc dawno już nie słyszane komplementy pod adresem „małych” narodów.

Ten sam Churchill, który w Teheranie i w Jałcie po prostu handlował małymi narodami i ich państwowymi terytoriami ogłosił w Brukseli, że nie jest prawdą jakoby skończyła się rola małych narodów. Minister Bevin mówił: „Nie mogę się zgodzić na to, aby cała polityka rządu brytyjskiego miała opierać się wyłącznie na „Wielkiej Trójce... nie mogę pozwolić sobie na to, jeżeli ambasador, czy przedstawiciel, czy wreszcie minister spraw zagranicznych widzi się z mną dla omówienia spraw między jego narodem a naszym, nie mogę sobie pozwolić — powtarzam — aby nawet przez jedną chwilę, zastanawiał się nad tym, czy to jest naród wielki czy mały”.

Węc przegrawszy, bo tak to po imieniu należy nazywać, szereg kart na Wielkiej Trójce, mocarstwa anglosaskie zdają się odwoływać do pomocy opinii świata i do pomocy małych narodów. Słowa te mogą robić wrażenie megalomanii. Nie są nią jednak. Wielkie demokracje Zachodu potrzebują wszystkich „małych” narodów tak samo, jak my potrzebujemy — wielkich demokracji

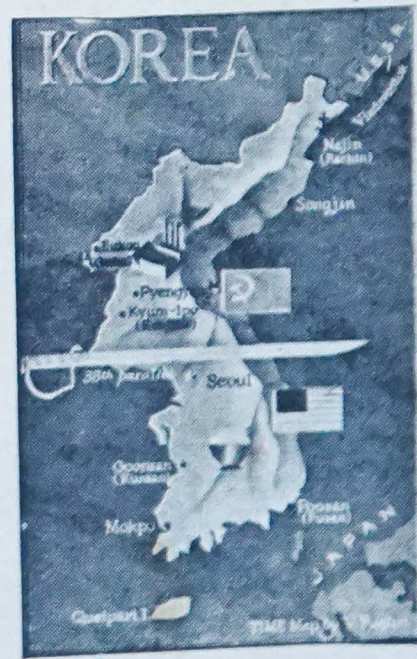
Zachodu. Należy się nam od wielkich demokracji ta siła materialna, którą one w tej chwili dysponują. Lecz dla ocalenia zachodniej, chrześcijańskiej cywilizacji, dla skutecznego przeciwstawienia się bolszewickiemu imperializmowi wielkie zachodnie demokracje potrzebują nas, potrzebują naszego wsparcia moralnego, a w krytycznym momencie i fizycznego. Jest to stosunek pełnej wzajemności, który pora zrozumieć i im i nam!

By oddać „święte powiernictwo” bomby atomowej, jak to nazwano, organizacji narodów zjednoczonych, by w tej organizacji rosyjską barbarę izolować, trzeba jednak nie tylko przerzucić ciężar stanowienia o sprawach światowej polityki z Wielkiej Trójki na forum organizacji narodów zjednoczonych, ku czemu można znaleźć pierwsze objawy, trzeba nie tylko zlikwidować anachronizm sowieckiego prawa weta wielkich mocarstw, ale trzeba wytworzyć warunki, by w organizacji narodów zjednoczonych mogły się znaleźć prawdziwe reprezentacje narodów a nie marionetki wielkich mocarstw. O ile z kolei organizacja narodów zjednoczonych nie ma zamienić się w bluff, nie może w niej obok reprezentującego swój naród i państwo Belgia czy Holendra zasiadać sowiecki namiestnik na Ukrainie, czy funkcjonariusz sowiecki w Polsce w rodzaju Rzymowskiego, czy osadzony przez Moskwę w Jugosławii titowski minister.

W tym bowiem czasie, gdy mocarstwa anglosaskie zastanawiają się nad uruchomieniem następnego z kolei narzędzia utrzymania pokoju, Moskwa prowadzi skutecznie i narazie zwycięsko... wojnę. Najwyraźniejsze pola bitewne, to w tej chwili — Persja i Mandżuria. Lecz równie ważnymi i krwawymi polami bitew — to łańcuch państw dokoła Rosji z roku 1939, obecnie przez rosyjskie armie okupowanych, gdzie trwa straszliwa wojna, której celem jest wyniszczenie przeciwnika. Wojna tym straszniejsza, że strona słabsza nawet nie może otwarcie powiedzieć, że jest w wojnie, bo ją okrzyczą jako fałszystwo i prowokatorów.

Świadomie powiedzieliśmy: wojna. Znamiem wojny jest mord; znamiem wojny jest niszczenie żywej siły przeciwnika, dziś przy wojnie totalnej nie tylko wojska nieprzyjacielskiego, ale całych warstw narodu; znamiem wojny jest zabieranie nieprzyjacielowi terytorium, usuwanie go z tego czy innego kawałka ziemi.

A coż innego dzieje się dokoła Rosji Sowieckiej?





Gen. Marshall, b. szef sztabu armii amerykańskiej, zamianowany obecnie ambasadorem w Chinach

Oto „dobrowolnie na roboty związane z odbudową Kraju — wyjechało w głąb Związku Sowieckiego 1.700.000 ludzi z krajów bałtyckich, czyli co trzecia osoba, uwzględniając przedwojenną ludność Estonii, Łotwy i Litwy”.

Oto prasa szwajcarska na podstawie wiadomości ze Szwecji podaje, że w jednym tylko rejonie Kalinina przebywa 20.000 Łotyszów!

Trwa bezlitosna likwidacja fizyczna tych ludzi, którzy stanowili wojsko polskie — podziemną armię polską, trwa, choć prasa gadzinowa w Polsce pisze o dobrodziejstwach ujawniania się, trwa, bo w tych samych obozach, gdzie Niemcy katowali polskich patriotów, i dziś męczą się prawi Polacy, wczorajsi żołnierze Armii Krajowej.

Biuro prasowe Słoweńskiego Komitetu Narodowego ogłosiło niedawno, że w ciągu półrocznych rządów Tito w Jugosławii, sądy wojskowe skazały na śmierć 500 osób, sądy ludowe 3500, OZNA i

nie tylko ani na cal nie ustąpiła z istotnych pozycji w zwasalizowanych państwach wzdłuż jej zachodniej europejskiej granicy, ale równocześnie taki sam łańcuch państw przygotowuje w Azji na swojej południowej i wschodniej granicy. To jest istotny sens bitew toczonych w Mandżurii i w Persji. W Mandżurii chodzi oczywiście o złoto, węgiel, rozbudowany przez Japończyków wielki przemysł, pszenicę, soję, budulec drzewny, doskonałą sieć kolejową, ale przede wszystkim o związek z północnymi, częściowo skomunizowanymi Chinami i bramę wypadową na całe Chiny w przyszłości. Trzynasta armia chińska Czang Kai Szeka, wyszkolona przez Amerykan, wyposażona przez Amerykan, przewieziona przez Amerykan, weszła w głąb Mandżurii na 130 mil. Lecz w miejsce wycofujących się wojsk sowieckich zdołano podrzucić dostateczną ilość „komunistów cywilnych”, którzy zamierzają na dobre bronić swej ojczyzny przed wojskami chińskimi. Rosja równocześnie zażądała kilku portów koreańskich.

agenci komunistyczni zamordowali potajemnie 260.000, w obozach koncentracyjnych zamknięto i do więzień z przyczyn politycznych wciągnęto 300.000, na roboty przymusowe skazano 150.000.

Te niszczone fizycznie setki tysięcy i miliony ludzi to przecież nie innego jak armia Europejczyków, która musi być zniszczona i dlatego jest niszczone, zanim wal sowieckiego imperializmu będzie mógł się posunąć dalej na zachód.

Równocześnie trwa inny, dla zachodu jeszcze większą potencjalnie groźbę kryjący proces: formowanie z wziętych do niewoli narodów armij na jutrzejszą ewentualną rozprawę i wsączanie jadu systematycznie w podbite narody M.łzymorza — antyangielskiej, czy antyeuropejskiej propagandy.

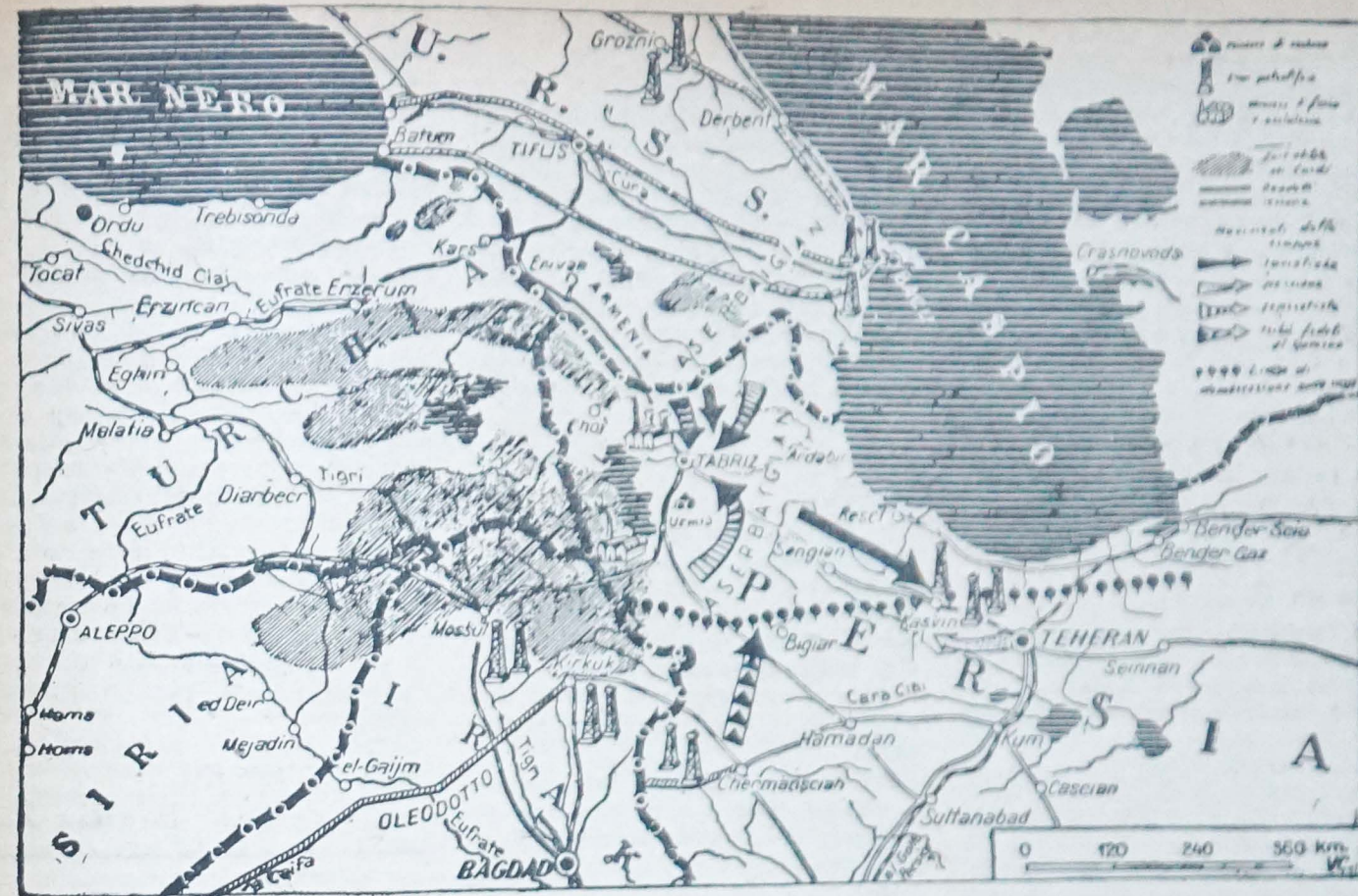
I oto w tym czasie, gdy na terenie narodów Międzymorza już trwa, co prawda jednostronna, wojna, ze strony mocarstw, dzierżących „święte powiernictwo” bomby atomowej, padają słowa... wiary w nasze narody. Ambasador brytyjski w Warszawie stwierdza, że nie ma w Polsce wolności, w szczególności wolności prasy. Bevin konstatuje, że w Polsce panują rządy „policyjne” i nieomal jednym rchem nie traci nadziei, że Polska potrafi przewyciężyć obecne trudności i umocnić się jako „wieki, niezależny naród”.

Tę pouczającą charakterystykę obecnego momentu warto zapamiętać: Wielcy „powiernicy” bomby atomowej dzierżą to powiernictwo w rękę, a naszym okupowanym narodom w warunkach terroru i obcej przemocy jako broń do ręki dają... kartkę wyborczą.

W Mandżurii i Azerbejdżanie

Moskwa, nie bacząc na bombę atomową, nie tylko ani na cal nie ustąpiła z istotnych pozycji w zwasalizowanych państwach wzdłuż jej zachodniej europejskiej granicy, ale równocześnie taki sam łańcuch państw przygotowuje w Azji na swojej południowej i wschodniej granicy. To jest istotny sens bitew toczonych w Mandżurii i w Persji. W Mandżurii chodzi oczywiście o złoto, węgiel, rozbudowany przez Japończyków wielki przemysł, pszenicę, soję, budulec drzewny, doskonałą sieć kolejową, ale przede wszystkim o związek z północnymi, częściowo skomunizowanymi Chinami i bramę wypadową na całe Chiny w przyszłości. Trzynasta armia chińska Czang Kai Szeka, wyszkolona przez Amerykan, wyposażona przez Amerykan, przewieziona przez Amerykan, weszła w głąb Mandżurii na 130 mil. Lecz w miejsce wycofujących się wojsk sowieckich zdołano podrzucić dostateczną ilość „komunistów cywilnych”, którzy zamierzają na dobre bronić swej ojczyzny przed wojskami chińskimi. Rosja równocześnie zażądała kilku portów koreańskich.

Konfliktowi chińskiemu towarzyszy niepowieszni skandal dyplomatyczny, który każe nam z wielką pobłażliwością patrzeć na antyeuropejskie i antyamerykańskie wyczyny np. tutejszych „Stars and Stripes”. Oto ustąpił ambasador Starów Zjednoczonych przy rządzie Czang Kai Szeka, Patrick Hurley i w złożonym oświadczeniu stwierdził po prostu odpowiedzialność amerykańskiego Departamentu



Teren konfliktu perskiego. Strzałki wskazują ruchy wojsk sowieckich, szeregów prorządowych i batalionów rządowych. Miejsce zakreskowane oznacza ziemie zamieszane przez Kurdów. Szyby naftowe wskazują na tereny ropoносne. Prócz linii granicznych, oznaczone są również granice okupacji sowieckiej w północnym Iranie

Stanu za zamieszanie polityczne w Chinach i upadek amerykańskiego prestiżu. Z dalszych rewelacji Hurleya dowiedzieliśmy się, że jeden z wysokich dyplomatów amerykańskich już w r. 1944 doradzał by „pozwoić upaść rządowi Czang Kai Szeka”. Był to dyplomata amerykański, nie sowiecki.

Prezydent Truman mianował nowym ambasadorem Stanów Zjednoczonych w Chinach byłego szefa sztabu armii amerykańskiej, Marshalla. Ustawiono więc nie bylejakiego partnera do gry chińskiej.

W Azerbejdżanie perskim rzecz idzie potrosze o naftę, o węgiel i rudę, lecz przede wszystkim o zdobycie kluczowej pozycji dla opanowania trójkąta: Morze Czarne, Kaspijskie — Zatokę Perską, przejście drogi do Indii itd. W języku moskiewskim nazywa się to „zjednoczeniem wszystkich Kurdów”, mieszkających, jak wiadomo, w Turcji, Iraku, w sowieckim i perskim Azerbejdżanie; nazywa się to „dążeniem perskiego Azejdżanu do niepodległości i połączenia się z sowieckim Azerbejdżanem”. Nazywa się to „wołą demokratycznego ruchu”, który rozpoczął się od „narodowego (oczywiście) kongresu” w Tawryzie i założenia „demokratycznego” stronnictwa, a skończył się, jak narazie, próbą marszu na Teheran. Dotychczasowe ruchy wojsk sowieckich — to posunięcie się w kierunku Kazwinu, a innych oddziałów pod Tawryz. Powstańcy zgrupowali się głównie dookoła Tawryzy. Plemiona wierne rządowi perskiemu podeszły pod Bigiar na drodze z Hamadanu do Tawryzy. Wojsk natomiast perskich sowieckie wojska okupacyjne nie przepuściły do Azerbejdżanu dla uśmierzenia rewolty. Stały się te ba-

taliony gdzieś między Teheranem a Kazwinem i czekają, jak cała Persja.

Czekają. Narazie do Persji przybyło 2000 nowych żołnierzy amerykańskich dla uzupełnienia zwolnionych do cywila i urlopowanych. „Stars and Stripes” stwierdziły jednak, że nie dopuszczą przez wojska sowieckie batalionu wojsk rządowych do perskiego Azerbejdżanu zapobiegło rozlewowi krwi. Noty — brytyjską i amerykańską — rząd sowiecki otrzymał. Na razie wiadomo, że Sowiety wojsk swoich z Persji w proponowanym przez Amerykan terminie do 1 stycznia 1946 — nie wycofają. „Jeszcze rano...”

Machinacje wyborcze na Międzymorzu

Przed wyborami węgierskimi przez układ gospodarczy i armię okupacyjną zabezpieczył sobie sowiecki okupant na Węgrzech nieszkodliwość zwycięstwa partii niekomunistycznych w wyborach. Po wyborach, przez nacisk polityczny przy tworzeniu rządu, unicestwił lityczny przy zwycięstwie wyborcze partii drobnych posiadaczy. Uzyskała ona jak wiadomo 58% głosów. Dostała 50% z tym, że tekę ministra spraw wewnątrznych objął komunista Imre Nardy, a spraw zagranicznych zaufany człowiek Moskwie w partii drobnych posiadaczy Jan Gyongyos.

Przy braku udziału opozycji i za pomocą przesypywania kulek wyborczych następujących kartki wyborcze — To uzyskał przewidziane wysokie procenty i na podstawie przeprowadzonych machinacji wyborczych „zdeponizował” króla Piotra, ogłoszwszy uroczyste federacji

cyjną republikę jugosłowiańską. Akt ten, oczywiście, niezależnie od republikańskich czy monarchistycznych uczuć poszczególnych Jugosłowian, nie ma żadnego prawnego znaczenia w opinii jugosłowiańskich niepodległościowców, jak każdy akt obcej okupacji na ziemiach Jugosławii.

W bułgarskiej komedii wyborczej również bez udziału opozycji „Front Ojczyźniany” uzyskał 98% głosów spośród 86% znalezionych przez komisję wyborczą w urnach bułgarskich. Wszystko „po planu”. Albański Tito, p. Hoksha, uzyskał podobne procenty.

A równocześnie w Austrii, gdzie jak wiadomo armia sowiecka jest tylko jedną z trzech armii okupacyjnych, a komisje alianckie nie są zupełną fikcją, komunisty uzyskali... 5% głosów.

Można westchnąć: Ech, gdyby tak naród polski np. ukarano jak austriacki trzema armiami okupacyjnymi, a nie jedną armią wyzwolicielką! Ale można też powiedzieć po prostu: „Na całym Międzymorzu trwa komedia demokracji sowieckiej i machinacji wyborczych, za którą odpowiedzialny jest nie tylko sowiecki okupant, ale i zachodnie demokracje. Ich obowiązkiem jest zagwarantować „małym” narodom warunki, w których akty wyborcze nie byłyby czczą komedią. Siła moralna każdego z tych narodów, niezłamana przez okupanta wola narodowego bytu, często pcha ją całe masy tych społeczeństw do form oporu i walki, których rozum polityczny i znajomość azjatyckiej przewrotności okupanta nakazywały by uniknąć.

Patrząc na ten stan rzeczy — gdy jako eity stoją obok siebie przewrotny i do



W edług oświadczenia kanadyjskiego ministra: „Jeżeli Ameryka północna zostanie zrealizowana — atak nastąpi z północy”

wszelkiej prowokacji zdolny okupant, możni ale ciągle dalecy od skutecznej interwencji, potencjalni wielcy sojusznicy — i skołatany, skrwawiony naród, ciągle szukający form walki, ze szczególną jasnością jawią się nam nasze obowiązki: być głosem i siłą narodu i jego sztandarem nie-skalanym hańbiącym kompromisem.

I w tej postawie trwamy. I tę postawę demonstrujemy. Jak mówił Dostojewski. Trwamy i trwać będziemy w naszej lojalności względem Rządu Polskiego w Londynie.

Ta postawa jest naszym sprawdzianem i wewnętrzną legitymacją naszych szeregów.

Broń de Gaulle'a

Po wyborach francuskich pragnęli tamtejsi komuniści, jeśli nie złamać, to podważyć autorytet de Gaulle'a. Jako sprawę zasadniczą przy tworzeniu gabinetu koalicyjnego trzech stronnictw: komunistycznego, socjalistycznego, i katolickiej lewicy M.R.P. — postawili uzyskanie jednej z trzech kluczowych tek: spraw zagranicznych, wewnętrznych lub wojskowych. Nie uzyskali żadnej z nich. Kryzys zakończył się pełnym sukcesem de Gaulle'a.

Co było siłą francuskiego premiera w tej rozgrywce? Co pozwoliło mu odważnie i zdecydowanie przeciwstawić się komunistom, choć w wyborach uzyskali oni dla swej partii największą liczbę głosów?

Odpowiedź na to pytanie dają pierwsze kroki rządu kierowanego przez de Gaulle'a. Mając postępowy program przebudowy społecznej, upowszechnienia własności i program troski o masę pracującą, de Gaulle po prostu nie obawiał się ani rozgrywki z komunistami w epinie, bo wiedział, że nie będzie im łatwo okrzyknąć go reakcjonistą, ani nie potrzebował obawiać się powierzenia komunistom tek gospodarstwa narodowego, produkcji przemysłowej i pracy. A jednym z pierwszych projektów, z jakim de Gaulle stanął przed świeżo obranym francuskim zgromadzeniem narodowym był projekt upaństwowienia Banku Francuskiego i czterech największych banków depozytowych.

To właśnie jest źródłem siły i pewności de Gaulle'a. Własnym pozytywnym programem reform społecznych ma on możliwość rozprawienia się z komunistyczną demagogią społeczną.

Drugi bastion lewicy antykomunistycznej, za jaki nieraz już na tym miejscu uważaliśmy socjalistyczny rząd w Wielkiej Brytanii, znalazł się w ogniu namiętnych ataków opozycji konserwatywistów z Churchillem na czele. Za utrzymanie kontroli rządowej nad życiem gospodarczym na okres najbliższych lat pięciu, zasadniczych dla przeprowadzenia rewolucji społecznej w Wielkiej Brytanii kierowanej przez Labour Party, Winston Churchill, zarządził rządowi socjalistycznemu „prześlągnięcie duchem faszystwu”. Nie wydaje się, by ostrość ataków konserwatyistów angielskich powstrzymała

rząd Labour Party w przeprowadzeniu reform społecznych.

Niezawodnie wzmocnieniem rządu będzie uzyskana po bardzo długich i „twardych” pertraktacjach pożyczka amerykańska łącznej wysokości 4.400.000 dolarów. Pożyczka, uzyskana za cenę zapowiedzianych redukcji brytyjskich barier ochronnych bloku sterlingowego, niezawodnie została przyspieszona względami na politykę zagraniczną i może stanowić jeden z zasadniczych elementów sytuacji anglosasko-sowieckiej.

Znowu we trzech i znowu do Moskwy

Po całym szeregu oświadczeń i to bardzo odpowiedzialnych o tym, że Wielka Trójka właściwie już nie jest potrzebna, że jej rolę powinna przejąć Organizacja Narodów Zjednoczonych, depesze z ostatnich godzin tygodnia przyniosły wiadomość o nowym spotkaniu... trzech ministrów spraw zagranicznych i to w Moskwie.

Przedmiotem obrad mają być: wyjście z impasu, trwającego od wrześniowego spotkania w Londynie, nieuczynanie dotąd przez mocarstwa anglosaskie rządów rumuńskiego i bułgarskiego, udział Rosji w kontroli nad Japonią, sprawa perska, administracja Niemiec.

Prasa francuska najboleśniej odczuła kolejne pominięcie Francji, a konferencję w Moskwie nazwała „dyplomatycznym triumfem Moskwy”. Rzecznik rządu francuskiego oświadczył, że „Francja w żadnym stopniu nie będzie się czuła związana decyzjami powziętymi na zbliżającej się konferencji”.

Inspirowana przez Moskwę prasa niemiecka rozpoczęła kampanię antyfrancuską, oskarżając Francję o doprowadzenie do martwego punktu w pracach komisji alianckiej w Berlinie. Jest więc winowajcą...

Można oczywiście mieć nadzieję, że na konferencji w Moskwie postawi się „ostateczne żądania” i Rosja usłuszy rwarde, powiedzmy, atomowe słowa.

Jeżeli cała deklamacja o prawach małych narodów ma tylko służyć do wytworzenia kilku wstępnych atutów przed następną wielką trójką, nie stać ani narodów już przez Rosję Sowiecką okupowanych, ani pozostałych narodów Europy, zagrożonych okupacją sowiecką jutro czy

ROZMOWA O OJCZYŹNIE

Z pogorzeliisk niezwydzionych miast,
z oparów polskich rzek,
nowe nadpłyną lata
w niepowstrzymanym biegu.
Z żywicy puszcz nieśmiertelnych,
jak z prostych słów,
wyrosną kamienie węglane
na ementaryszkach snów.
Z zaplutej i wyszydzonej idei
wszystko co trwałe pozostanie
i nowe wiatry ogloszą
nienaruszalność granic.

Jerzy Bazarewski

za lat pięć, na bierność polityczną i brak konsolidacji. Wykazaliśmy wyżej, że interes jest wzajemny. Narody przez Rosję okupowane, jak i narody zagrożone przez nią, potrzebują pomocy mocarstw anglosaskich, ale mocarstwa anglosaskie potrzebują dziś, a jeszcze bardziej jutro potrzebować będą naszej, małych narodów pomocy.

W tej chwili przed de Gaullem stoi możliwość podjęcia inicjatywy politycznej najwyższej wagi: konsolidacji narodów europejskich i uczynienia z Europy zagrożonej i okupowanej — politycznej jedności. Nie wiemy, czy tę inicjatywę podejmie. Wiemy natomiast, że inicjatywa ta prędzej czy później podjęta będzie, bo taka jest logika konieczności obrony istnienia 150 milionów Europejczyków, już przez Rosję wziętych do niewoli, jak i pozostałej Europy.

Czym później to nastąpi, tym gorzej i dla nas, Europejczyków, i dla Anglosasów!

M.p. 8. XII. 1945 r.

Jarosław Żaba

POSZUKIWANIA

Zieniewicz Włodzimierz, syn Krzysztofa i Marii, ur. w 1901 r. w powiecie łuninieckim, zamieszkały do 1940 r. w leśniczówce Poddębnie, powiat Łuniniec, leśniczy lasów państwowych, w roku 1940 wywieziony do Rosji, w 1942 r. wstąpił do wojska polskiego jako kapral — poszukiwany przez żonę, och. Zieniewicz Eleonora, Polish Forces, CMF 35.

Gawrys Stanisław z Błażowej, powiat Rzeszów, ostatnia wiadomość z roku 1943, oraz krewni i znajomi — poszukiwani przez wachm. Gawrys Romana, Polish Forces CMF 606.

Twarzyńskiego Edwarda, urodz. w Warszawie, syna Władysława i Jana, lat około 17, — poszukuje sierz. Wierzbicki Piotr, Polish Forces CMF 35.

Piętka Wanda (matka), lat 59; Piętka Stanisław (brat), — aresztowany w lipcu w 1940 r., przebywał kilka miesięcy w więzieniu w Białymostku —; Piętka Wincenty (brat) lat 37; Piętka Janina (siostra) lat 35; — wszyscy zamieszkałi przed wojną w majątku Oprawczyki, powiat Ostrow Mazowiecki, deportowani w czerwcu 1941 roku do Rosji (Kazachstan?) — poszukiwani przez mgr. Piętka Stefana, Polski obóz Wysiedleńców, Hohenfels k. Ratzbony (Regensburg), D.P. Camp Hohenfels G. 5, APO 658 U. S. Army.

Zagrodzka Ewa, Stasiniewicz Jadwiga i Wanda, zamieszkałe Wiśnic Newy koło Bochni, oraz Sosnowski Jerzy z Rzeszowa — poszukiwani przez Majewską (Stroczańkę) Jadwigę, Polish Forces, CMF 62.

Wóycicka Wanda, lat 39, aresztowana w jesieni 1945 r., więziona na Pawiaku, wywieziona została w grudniu 1943 r. do obozu odosobnienia. Wiadomość do Redakcji „Ochotniczki”.

Mroczkowska Aniela poszukiwana przez straż. Generowicz Bohdana, Polish Forces, CMF 470.

Chojnacki Stanisław, Polska Y.M.C.A., Polish Forces, CMF 96, stałe mp. Rzym, poszukuje krewnych i przyjaciół.

O WAS TU CHODZI!...

OJCIEC ŚWIĘTY O ZADANIACH I OBOWIĄZKACH Kobiet

Dnia 21. X. br. wygłosił Ojciec Święty dłuższe przemówienie do niewiast i dziewcząt katolickich w związku z przyjęciem kobiet włoskich i udzieleniem im błogosławieństwa. Z przemówienia tego podajemy fragmenty.

... Powiedzmy od razu, że dla nas zagadnienie kobiece, tak w swoim całości kształcie jak i w każdym ze swoich wielorakich punktów w szczególności, polega całkowicie na zachowaniu i wzmocnieniu tej godności, jaką niewiasta otrzymała od Boga. Dla nas jest ono zagadnieniem, należącym nie tylko do dziedziny czysto prawnej lub gospodarczej, wychowawczej lub biologicznej, politycznej lub demograficznej, ale zagadnieniem, które przy całym swym splocie obraca się całkowicie dokoła pytania: jak utrzymać i wzmocnić tę godność niewiasty, zwłaszcza dzisiaj, w tych okolicznościach, w jakich nas postawiła Opatrzność? Podchodzić do tego zagadnienia inaczej, rozważać je jednostronnie pod którymkolwiek z wyżej wymienionych kątown widzenia, znaczyłoby tyle, co chciał je obejść, bez żadnej korzyści dla kogokolwiek, a już najmniej dla samej niewiasty. Odrwać je od Boga, od mądrego ładu ustanowionego przez Stwórcę, od Jego najświętszej woli, znaczyłoby zniekształcić samo sedno zagadnienia: jaka mianowicie jest prawdziwa godność niewiasty, godność, którą ona posiada li tylko od Boga i w Bogu.

Wynika z tego, iż nie są zdolne do rozważania we właściwy sposób zagadnienia kobiecego owe systemy, które z życia społecznego wykluczają Boga i Jego prawo, a nakazom wiary przyznają co najwyżej okromne jakieś miejsce w prywatnym życiu człowieka.

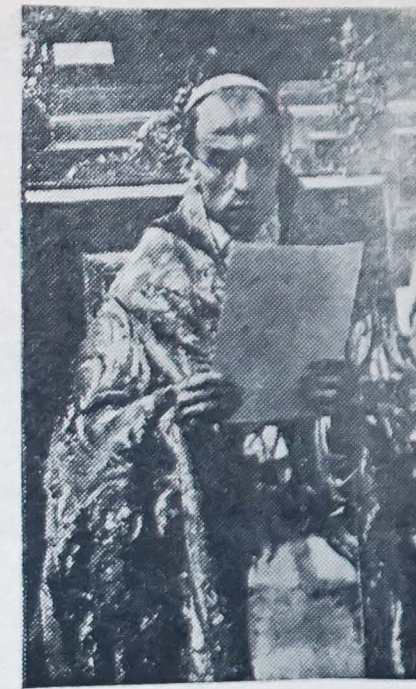
Gdy chodzi o godność osobistą mężczyzny i niewiasty, jako dzieci Bożych, to są oni bezwzględnie równi, są równi także, gdy chodzi o cel ostateczny ludzkiego życia, którym jest wieczyste zjednoczenie z Bogiem w szczęśliwości niebieskiej. Jest nieśmiertelną chlubą Kościoła, że tę prawdę wydobyl na światło i przywrócił jej należne poszanowanie, oraz że uwolnił niewiastę od poniżającej przeciwnej naturze, niewoli.

Tak w jednym jak i w drugim stanie zadanie niewiasty jest wyraźnie nakreślone przez rysy twarzy, skłonności i odrębne zdolności jej płci. Współpracuje ona z mężczyzną ale w sposób, który jest jej właściwy, według wrodzonej sobie dążności. Oto zadaniem niewiasty, właściwym jej upodobaniem, jej wrodzoną skłonnością, jest macierzyństwo. Każda niewiasta jest przeznaczona, aby być matką: matką w fizycznym tego słowa znaczeniu, albo w znaczeniu bardziej duchowym i wniosłym, lecz nie mniej rzeczywistym.

Do tego celu Stwórca przysposobił całą istotę kobiety: jej organizm, ale jesz-

cze bardziej jej ducha, a nade wszystko jej delikatną wrażliwość, tak dalece, że godna tej nazwy kobieta, nie potrafi widzieć ani zgłębić jakiegokolwiek zagadnienia życia ludzkiego inaczej, jak ze stanowiska rodziny. Dlatego też subtelne poczucie własnej godności ostrzega ją iłekoż ustrój społeczny lub polityczny grozi niebezpieczeństwem jej posłannictwu macierzyńskiemu, dobru rodziny.

Takie właśnie są dzisiaj, warunki społeczne i polityczne; a mogą one stać się jeszcze bardziej niebezpieczne dla świętości ogniska domowego i, co za tym idzie, dla godności kobiety; godzina wazsa wybiła, niewiasty i dziewczęta katolickie; potrzeba was w życiu publicznym; do każdej z was moż-



na powiedzieć: „tua res agitur”, o ciebie chodzi! (Horac. Epist. 1,18,84).

Czy wyciągniemy stąd wniosek, że wy, niewiasty i dziewczęta katolickie, macie się opierać temu ruchowi, który, chcecie czy nie, wciąga was w wir życia społecznego i politycznego? Z pewnością że nie...

...Niewiastę zatrzymuje poza domem nie tylko ta jej zachwalana emancypacja, ale nieraz także konieczność życia, ciągła troska o chleb codzienny. Na próżno więc będziemy się domagać jej powrotu do ogniska domowego, dopóki będą trwały warunki, które tak często zmuszają ją do oddalania się od niego. I tu ujawnia się jedna strona posłannictwa w życiu społecznym i politycznym, jakie przed wami staje orworem. Dostęp do życia publicznego otworzył się wam nagle, na skutek tych przewrotów społecznych, których jesteśmy świadkami. Mniejsza o to! Wy jesteście powołane do wzięcia w nim udziału; czy może zechcecie zostawić wyłączone prawo organizowania społeczeństwa, którego jedności gospodarczej, prawnej, duchowej i moralnej rodzina

jest głównym czynnikiem, innym niewiastom, tym mianowicie, które same usiłują zburzyć ognisko domowe lub innym w burzeniu go dopomagają? Losom rodziny, losom wspólnoty ludzkiej grozi niebezpieczeństwo; są one w waszym ręku; tua res agitur (o was tu chodzi)! Każda zatem bez wyjątku niewiasta ma obowiązek ściśle, obowiązek sumienia, rozumieście to dobrze, nie uchylać się, lecz rozpocząć działalność w formie i w sposób odpowiadający stanowisku każdej z was, aby powstrzymać prądy, zagrożające ognisko domowemu, zwalczać doktryny, podkopujące jego podstawy, przygotowywać, organizować i prowadzić jego odbudowę.

Do tej pobudki, przynaglającej niewiastę katolicką do wstąpienia na drogę, jaka się dziś otwiera dla jej działalności, dołącza się jeszcze inna: jej godność niewieścia. Ma ona współpracować z mężczyzną dla dobra civitatis, społeczeństwa, w którym jest mu równa godnością. Każda płec musi wziąć na siebie tę rolę, która jej się należy, zgodnie z jej naturą, jej właściwościami, jej zdolnościami fizycznymi, umysłowymi i moralnymi. Obydwie płci mają prawo i obowiązek przyczynić się do pełnego dobra społeczeństwa i ojczyzny. Jasną jednak jest rzecz, że, podczas gdy mężczyzna z natury bardziej jest skłonny do zajmowania się interesami zewnętrznymi, sprawami publicznymi, niewiasta, na ogół mówiąc, posiada większą przenikliwość i subtelniejszy tact, gdy chodzi o rozpoznawanie i rozwiązywanie delikatnych zagadnień życia domowego i rodzinnego, będącego podstawą życia społecznego; nie przeszkadza to oczywiście, żeby niektóre niewiasty nie potrafiły naprawdę dawać dowodów wielkiej umiejętności także na różnych polach działalności publicznej.

W tym wszystkim nie tyle chodzi o różnicę zadań, ile raczej o sposób myślenia i dochodzenia do zastosowań konkretnych i praktycznych. Weźmy na przykład pod uwagę sprawę korzystania z praw cywilnych. Są one obecnie dla obydwu płci równe; ale o ileż rozsądniej i skuteczniej będą one wyzyskane, jeżeli mężczyzna i niewiasta będą się starali nawzajem uzupełniać! Właściwa niewiście wrażliwość i subtelność, która mogłaby ją nieraz pełniać po linii jej wrażeń i przynieść szkodę jasności i szerokości jej poglądów, pogodzie sądu, zdolności przewidywania dalszych skutków, są wręcz przeciwnie cenną pomocą, gdy chodzi o poznanie potrzeb, dążności, niebezpieczeństw w zakresie porządku domowego, opieki społecznej i religii.

Niewiasta rozwija swą działalność po większej części wśród prac i zajęć życia domowego, które o wiele więcej i skuteczniej, niż to się ogólnie przypuszcza,

wychodzą na korzyść rzeczywistych interesów wspólnoty ludzkiej. Ale interesy te jednak wymagają ponadto zastępu niewiast, które by rozporządzały większą ilością czasu, aby móc im się poświęcić bardziej bezpośrednio i całkowicie.

Któreż niewiasty będą się mogły zająć tymi sprawami, jeżeli nie szczególnie (nie chcemy oczywiście powiedzieć: wyłącznie) te, o których przed chwilą wspomnieliśmy, a którym sam zbieg okoliczności narzucał do tajemniczego „powołanie”? Te, które bieg wypadków skazał na samotność, nie leżąc w ich myśli ani w ich dążnościach, a przeznaczając je niejako do samolubnego sposobu życia, bez celu i bez korzyści? A oto przeciwnie dzisiaj pokazuje się, jak różnorodnie i bojowe, pochłaniające wszystkie ich energie, jest ich posłannictwo, takie posłannictwo, takie posłannictwo, które nie wiele innych niewiast, obarczonych troską o rodzinę i o wychowanie dzieci, lub skrepanych świętym jarzmem zakonnej reguły, mogłyby się go w równym stopniu podjąć.

Dotychczas niektóre z tych niewiast oddawały się, często z podziwu godną gorliwością, dziełom parafialnym; inne, rozszerzając krąg swych zainteresowań, poświęcały się pracy moralnej i społecznej o wielkim zasięgu. Liczba ich na skutek wojny i idących w ślad za nią klęsk znacznie wzrosła; wielu dzielnych męczyzn padło w tej okropnej wojnie, inni powrócili z niej schorzani, tyle młodych niewiast będzie przeto na darmo czekało przybycia oblubieńca i zapelnienia się nowym życiem ich opustoszałego domostwa. Tymczasem jednak przez wejście niewiasty na arenę życia obywatelskiego i politycznego powstały nowe potrzeby, które domagają się ich współpracy. Jesteż to tylko jakiś dziwny zbieg okoliczności, czy też może należy tu widzieć zarządzenie Opatrzności Bożej?

Tak więc pole działalności, jakie się dzisiaj otwiera przed niewiastą, jest bardzo szerokie. Może ona zależeć od swoich zdolności i zamiłowań pracować bądź to w dziedzinie umysłowej, bądź też raczej praktycznej. Studiować i innym wykładać stanowisko i zadanie kobiety w społeczeństwie, jej prawa, jej obowiązki, być wychowawczynią i przewodniczką swoich towarzyszek, prostować pojęcia, rozpraszać uprzedzenia, wyjaśniać nieporozumienia, tłumaczyć i szerzyć naukę Kościoła, aby móc tym pewniej zbijać błąd, ufudę i klamstwo, aby tym skuteczniej udaremniać taktykę wrogów dogmatu i moralności katolickiej; oto ogrom naglącej pracy, bez której najgorliwszy nawet wysiłek apostołski osiągnąłby przejściowe tylko skutki. Jest jednak niezbędne również i działanie bezpośrednie, o ile się nie chce, aby zdrowa nauka i dobre przekonania pozostały, jeżeli już nie czysto platonicznie, to przynajmniej ubogimi w skutki praktyczne.

Ten udział bezpośredni, ta czynna współpraca w działalności społecznej i politycznej w niczym nie zmienia charakteru normalnej działalności niewiasty. Pomagając męczyźnie w pracy na terenie instytucji obywatelskich, zajmie się ona przede wszystkim sprawami i wypracowanymi

aktu, delikatności, instynktu macierzyńskiego, bardziej niż administracyjnej rutyny. Któż lepiej niż ona potrafi zrozumieć, co licuje z godnością niewiasty, z nieskazitelnością i honorem dziewczycy, czego wymaga opieka nad dzieckiem i jego wychowanie? A w każdym z tych zadań ileż to zagadnień, które powinny przykuwać uwagę rządzających i prawodawców i zmuszać ich do działania! Tylko niewiasty będąc np. umiała połączyć dobrodziejstwo z skuteczną energią, gdy chodzi o zwalczanie swawoli oby-

Wśród wiadomości z Kraju co raz częściej napotykamy wzmianki o działalności Stronnictwa Ludowego i — Polskiego Stronnictwa Ludowego



Wincenty Witos

wego. To nie jest masło maślane ani też błąd drukarski. Są to raczej — aby pozostać przy języku przysłów ludowych, owe przysłowiowe dwa gryzy w barszcz... I to nie koniecznie w barszcz mało-rosyjski... Raczej — w barszcz wielkoro-rosyjski.

Co zaś i jak — opowiem.

Bardzo, bardzo dawno temu, dla najmłodszej generacji A-kaczek i Pestek nieomal w epocę kamiennej, bo nie tylko przed pierwszą wojną światową, ale nawet przed narodzinami obecnego stulecia, równych 50 lat temu, zaszło w polskim życiu politycznym następujące wydarzenie. Grupa niepoprawnych marzycieli (pogrobowców r. 1863) postanowiła stworzyć stronnictwo ludowe. Sama idea nie była nowa. Polska myśl społeczna — jak mieliśmy to okazje stwierdzić niedawno na łamach „Orła Białego” — od czasów bardzo dawnych łączyła przyszłość Polski, jej rozwój, dobrobyt, bezpieczeństwo, samą nawet egzystencję naszej Rzeczy-

czajów; ona jedna zdoła wynaleźć drogi do uchronienia od poniewierki i do wychowania w uczciwości i cnocie religijnej dzieci zaniedbanych moralnie; ona jedynie zdoła uczynić prawdziwie owocnym dzieło patronatu i rehabilitacji zwolnionych z więzień, lub dziewcząt upadłych; ona jedynie odpowie echem swojego serca na krzyk matek, którym państwo totalitarne, jakkolwiek by się szczyciło nazwą, usiłuje odebrać wychowanie ich dzieci!

spolitej — z podniesieniem warstw upośledzonych, czyli, jak się mówiło wówczas, „ze zrównaniem wszystkich stanów” w prawach obywatelskich. Nie trzeba na to być uczonym historykiem, aby wiedzieć, że Konstytucja 3 Maja (1791) była w owych latach najbardziej demokratyczną i najbardziej w przyszłość wybiegającą ustawą zasadniczą, jaką znają dzieje XVIII stulecia. I nie trzeba także wielkiego znawstwa przeszłości, aby pamiętać tekst Uniwersału Połańckiego (1794), a zwłaszcza jego postanowienia, dotyczące zniesienia pańszczyzny i uwłaszczenia chłopów. Niestety oba te akty prawne nastąpiły w momencie załamania się państwowości polskiej, wobec czego realizacja ich została uniemożliwiona przez trzeci rozbiór Polski (1795).

Nie jest naszym celem pisanie tutaj rozprawy historycznej, nie możemy więc wdawać się w analizę pytania — (a ono nasuwa się) — czy i w jakim stopniu postępowość i demokratyczność tych właśnie aktów prawnych wpłynęła na przyspieszenie, a może nawet na dokonanie ostatecznego rozbioru naszego państwa. Są tacy badacze dziejów, którzy widzą ścisły związek między tymi dwoma faktami...

Nie przesądzając tej sprawy — przerasta to bowiem skromne kompetencje piszącego te uwagi — jedno w każdym razie należy zapamiętać: Polska upadająca pozostawiła niejako swój testament polityczny. Wskazała w nim drogę — jeżeli już nie uratowania niepodległości — to w każdym razie drogę jej odzyskania: z ludem, w oparciu o lud.

Tradycje te, tradycje Tadeusza Kościuszki i jego symbolicznej sukmany — (cofnijmy się myślą wstecz do owych czasów społeczeństwa stanowego i zastanówmy się co wówczas oznaczał ten gest Naczelnika...) — te tradycje przez sto lat były niewyczerpanym źródłem aktywności politycznej i społecznej w naszym narodzie. Dawne (zwłaszcza XVI wieczne) hasła demokracji szlacheckiej, które odegrały

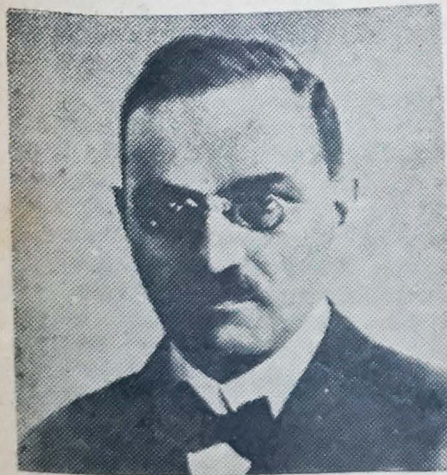
w owym czasie niemiałą rolę w kształtowaniu się zachodnio-europejskiej myśli politycznej*) znalazły tutaj nową podnieść. Tak, jak w XVI stuleciu polska demokracja szlachecka była prekursorskim fenomenem na tle niemal powszechnego feudalizmu europejskiego, tak samo wówczas (w roku 1791!) hasła 3 Maja wybiegały daleko w przyszłość, zwłaszcza jeżeli porównamy je ze stanem faktycznym, panującym wówczas u naszych sąsiadów z Zachodu i ze Wschodu...

Wciąż wystrzegamy się tutaj terminologii naukowej, gdyż nie chcemy obciążać naszych rozważań zbędnym balastem, ale musimy przecież dodać, że był to czas tzw. absolutyzmu oświeczonego, czas Fryderyka i Katarzyny, a więc — nieomal — (z niewielkimi odmianami) — czas hitleryzmu i... stalinizmu...

Podobnie, jak w roku 1939 Polska znajdowała się między dwoma absolutystycznymi potęgami — (obecnie zamiast słowa absolutyzm używamy słowa totalizm...) — podobnie też, jak obecnie obu tym potęgom przeciwstawiła swój odmienny styl życia. Jakież to styl? — Umiłowanie wolności.

Hasło to — w miarę jak życie zmieniało swoje formy — musiało również przybrać nowoczesny kształt. W roku 1892 na zjeździe paryskim grupa polskich podziemnych działaczy socjalistycznych — (m. in. Józef Piłsudski, Bolesław Limanowski, Stanisław Wojciechowski, Gabriel Narutowicz...) — założyła Polską Partię Socjalistyczną, jako organizację polskiego proletariatu — w kilka lat później (1895) grupa działaczy

*) Piszący te słowa myśli zwłaszcza o Wawrzyńcu Goślickim (1533(?) — 1607) biskupie kamienieckim, którego książka p. t. „O doskonalym senatorze” (oczywiście w teście łacińskim) wydana w roku 1568 w Wenecji, doczekała się kilku wydań w języku angielskim i wywarła ogromny wpływ na kształtowanie się pojęć politycznych Anglii. „Dokonał senator” Goślickiego przez sto pięćdziesiąt lat był namiętnie dyskutowaną lekturą kilku pokoleń angielskich mężów stanu!



Stanisław Thugutt

ludowych założyła Polskie Stronnictwo Ludowe.

Celowść tej organizacji dla nikogo, umiejącego myśleć kategoriami politycznymi, nie mogła budzić wątpliwości. Skoro Polska, ta Polska, którą dopiero należało wywalczyć, miała się stać rzeczywistością, to — rzecz prosta — nie mogła ona być wskrzeszeniem starej Rzplitej Szlacheckiej, ale musiała być w spójnym z dobrem w s z y s t k i c h o b y w a t e l i, a więc — oczywiście — w pierwszym rzędzie dobrem najliczniejszej warstwy narodu: chłopów. Ta myśl przyświecała grupie niepoprawnych polskich marzycieli, którzy przez cały wiek XIX przygotowywali fundamenty ideowe pod pierwszą nowoczesną organizację polityczną wsi. Nie mamy tutaj pod ręką materiałów archiwalnych — smutny to los wszelkich emigracyjnych publikacji — nie możemy więc pokusić się o bardziej szczegółowe zobrazowanie tej interesującej epoki. Tych,



Mariej Rataj

którzy kładli pierwsze fundamenty pod nowoczesny ruch ludowy w Polsce (w trzech zaborach), było znacznie więcej, aniżeli zdołała zachować ich nasza pamięć. Pamięcia jednak dysponując jedynie (miast bibliotek), możemy wspomnieć tylko kilka nazwisk: Tomasz Noczniński, Błażej Stolarski, Jakub Bojko, Bolesław Wyślouch, Włodzimierz Tejmajer, Duleba, prof. Franciszek Bujak, Wincenty Witos, dr Władysław Kiernik, Mierzwa, Bagiński, Bielenin, Lasocki, Drohojowski, Jan Dąbki, Stanisław Thugutt, Juliusz Ponia-towski, Irena Kosmowska, Mariej Rataj... Mimo wszystkich potknięć i dużej domieszki demagogii, także Stapiński i ksiądz Stejałowski.

Jak z tego pobieżnego zestawienia nazwisk wynika, obok działaczy politycznych czystej krwi, jak np. Wincenty Witos, współdziałali z polskim ruchem ludowym w różnych okresach czasu i w rozmaitych dziedzinach także uczeni (jak np. prof. Franciszek Bujak) i artyści (jak np. malarz Włodzimierz Tejmajer). Należy tutaj wspomnieć również o ludofilskim nastawieniu całej grupy

artystów w okresie tzw. Młodej Polski, czego nieśmiertelne echo widać i widzieć będą wszystkie generacje Polaków w „Weselu”. Do tej samej kategorii zjawisk należą oczywiście „Chłopi” Rzymonta.

O czym to świadczy? Zdaniem naszym świadczy to o tym, że ruch ludowy w Polsce opierał się nie tylko na szerokiej podstawie społecznej, jaką dla niego z natury rzeczy są chłopię, ale zapuszczał również korzenie w głąb kultury narodowej. Czerpał z tysiącletniego jej zapsu, ale też — co jest nie mniej ważne — wnosił do niej nowe wartości.

Nieszczyście ruchu ludowego w Polsce było ciągle dzielone się i rozlatywanie raz utworzonych organizacji. Także i pod tym względem piszący te słowa nie czuje się na siłach, aby dać wyczerpującą analizę tego zjawiska. Należy więc jedynie, że obok Polskiego Stronnictwa Ludowego „Piast” (najliczniejszego ugrupowania politycznego w Polsce Ni-podległej w latach 1918—1939) — działały jeszcze dwie partie ludowe (wymieniamy tylko najpoważniejszą organizację: Polskie Stronnictwo Ludowe „Wyzwolenie” i „Stronnictwo Chłopskie”).

Jak czytelnicy nasi wiedzą, „Ochotniczka” (podobnie, jak cała nasza prasa wojskowa) nie ślęży żadnej partii politycznej, stara się bowiem reprezentować interesy całego narodu, więc i w tej sprawie chce jedynie podać garść informacji. Ten układ stosunków na wsi polskiej trwał — szczerząc rzecz w zarysie — do roku 1939. W latach okupacji niemieckiej zachodziły w łonie ruchu ludowego, podobnie jak we wszystkich innych następujących organizacjach politycznych, dalsze przemiany, których tutaj omawiać nie będziemy dla bardzo prostej przyczyny. Oto — w Polsce trwa w dalszym ciągu okupacja, obowiązując więc bezwzględna konspiracyjna dyskrecja. Tyle powiedzieć możemy, że „nowi panowie” działają wedle szablonu, opracowanego w wiadomym mi-iscu... W chwili, gdy wojska rosyjskie wkroczyły do Lubelszczyzny (1944), powołali oni do życia tzw. „Stronnictwo Ludowe”. (Podobnie „powołano do życia” tzw. P. P. S.). Działo się to oczywiście



Irena Kosmowska

w ten sposób, że prawdziwym ludowcem piłskim — podobnie jak w nowj „P.P.S.” prawdziwym socjalistom polskim — żadnego miejsca w tych nowych partiach nie pozostawiono... Przeprowadzono więc całą rzecz w ten sposób, jak gdyby — że użyjemy porównania z innej dziedziny — jakiś intruz użył starej i pierwszorzędnej firmy dla swoich fałszowanych i zgola nie pierwszorzędnych wyrobów...

Różne względy powstrzymują nas od rozwijania tego tematu. Polacy nie od dziś umieją czytać między wierszami. Nie wszystko złoto, co się świeci... To, że w Polsce istnieje w tej chwili „Stronictwo Ludowe” (powołane do życia w Lublinie) i Polskie Stronictwo Ludowe, organizowane na nowo przez starych działaczy ludowych — to nie przypadek ani też nie błąd dru-

garski... Jeżeli błąd, to już chyba — błąd historii... Kraj orientuje się w tych sprawach dobrze. Trzeba więc, żebyśmy i my, czytając tak mgłne (pozornie!) depesze, wiedzieli co one znaczą.

Nie ma i nie może być w tej chwili prawdziwego, niezależnego ruchu ludowego w Polsce, okupowanej przez Rosję.

St. Włodarz

SYBIRAK — LEGIONISTA — PREZES

Polacy, mimo pietyzmu dla zasług i wieku, raczej nie lubią „starszych pokoleń”. Rewolucyjne „ody do młodości” nie zawsze jednak biorą się z natchnionych pobudek, choć pozornie walka między pokoleniami toczy się o zasady i programy. Niekiedy ten przeobrażający ruch w czasie dezorganizacji ciągłości i jest tylko przekornym marnowaniem spuścizny. Retekcyjne te nasuwały mi się zawsze, ilekroć spotykałam się z Sierosze wskim. Przyznaję, że zagadnienie: stary i młodzi — traktowałam dość poobieżnie, choć dziś wiem, że było ono jednym z podstawowych w Polsce sprzed września.

Sieroszewski, pisarz o dużych zasługach, był już tylko spuścizną, której nie ceniliśmy zbyt wysoko w Polsce odrodzonej. Przekroczywszy wysoki próg, chcieliśmy w domu Wolności jak najprędzej wyzbyć się ciępkich pamięteń niewoli. Ci, których młodość należała do tamtych czasów, otrząśali się z psychicznych urazów, aby odrodzić się w tym, co rodzilo się w nowych, nieczym nie obarczonych wymiarach państwa. Nie wskazane więc było nawracać do wzruszeń lat dziecięcych i młodzieńczych, do tych książkowych smutków, kształtujących pojęcia według miary krzywd i cierpienia.

Sieroszewski był pisarzem mojej młodości. Nie wzburzał wprawdzie i nie czarował jak Żeromski, ale wystarczało, że pisał o Syberii, która była rezerwatem naszego oporu i egzotyka niewyobrażalnej, wrogiej przyrody. Patrząc z okien dworu na dwa słupy graniczne: austriacki i rosyjski — odczuwałam grozę tych przestrzeni, które porywały ludzi na zagubę, nawet najbliższych naznaczając tajemnicą długiej rozłąki lub niepowrotu. Może zawił temu „Anelli” swoją formą ewangeliczno-baśniową i widmowym kolorytem. Kiedy wiele lat później i mnie i tylu innych porwała i wchłonęła w siebie przestrzeń rosyjsko-azjatycka, nie jawił się biały anioł Eloie po umierającej siostry Ellenai. Ale teraz, jak w tamtych książkowych latach: Omsk, Tobolsk, Jakuty, ziemie Ajnosów i Samojedów — rzeki: Oh, Jenisiej i Lena, a niechby i ta bliższa Wołga — zostały koszmarną geografiją.

Prawdę mówiąc, Sieroszewski nie straszyl nas tak bardzo swoim Sybirem. Pisał o sybirskich sprawach i ludziach pogodnie, układał czule fabuły, a nawet makabra z życia trędowatych wchodziła przecież w ramy nieznaney nam wówczas przyrody i dotyczyła nieznanych, obcych ludzi. Można im było współczuć i można było wzruszać się losami skośnookiej, pląskotwarzej Oil Sani Kiszaj. Zestąpienie

Sieroszewski powiódł z sobą na Sybir spory bagaż polskiego humanitaryzmu i wydzielał go nam dużymi racjami w żółtych ebetner-wolffowskich tomikach pod pseudonimem pisarskim: Sirko. W tamtych latach ciągłego pogotowia i niegasnących nadziei książki były ważną pozycją w przygotowawczej pracy, a humanitaryzm, liberalizm, demokratyzm — były żelaznym kapitałem, z którego nie chcieliśmy nie utracić.

Książki musiały jednak potem ustąpić miejsca robocie realnej — ćwiczeniom z bronią i wymarszom na rozmaite Błonia. Z tych ćwiczeń i z tych wojskowych wprawek powstały Legiony Piłsudskiego. Nie wielkiej grupie przypadł ten zaszczyt usłyszania pierwszego rozkazu Komendanta i wyruszenia spod Oleandrów krakowskich żołnierskim marszem w historię. Tam to, gdzie Strzelec zbratali się z Drużyniakami, był Sieroszewski — legionista Sirko. Członek petersburskiego Towarzystwa Geograficznego (za naukowe prace o Syberii), sybirak, skazaniec i zesłaniec — wziął na plecy tornister a w garść karabin austriacki marki Werndel i stojąc w szeregu, wiernie patrzył w oczy Komendanta. Nie młody już, szedł w służbę młodzieńczej wojny.

Mnie ukazał się Sieroszewski poraz pierwszy w paradnym szwoleżerskim mundurze w biurach NKN w Wiedniu. Dano mi wtedy, jako osobie młodej i nieznacz-

nej, kopę różnych biletów z poleceniem rozsprzedania ich rozmaitym honoracjom. W Wiedniu bowiem grywał wówczas lwowski teatr Hellera — raz Zapolską, raz Fredrę — aby uchodźcy z Galicji, szpetnie wówczas zwani „uciekinierami” albo z wiedeńska „Fluechlingami”, z Ringów, Grabenu, Hietzingu i z winiarni Grinzingu od czasu do czasu wracali poprzez polski teatr — do Polski. Tym razem wystawiał teatr jakiś ponury dramat Przybyszewskiego na beneficj autor, któremu biednie wiodło się na tułaczym, zasiłkowym chlebie. Biegłam więc po rozmaitych schodach, jeździłam rozmaitymi windami, szukając dobroczynnych a zasobnych odbiorców. Nawet do sławnego pisarza polskiego, a ważnego wówczas hofrata, Ritnera dotarłam w jakimś ministerstwie. Po czym już należycie przejęta i wzruszona lądowałam w siedzibie enkaenowskich władz. I tu w drzwiach natknęłam się na szwoleżera. Ktoś mi szepnął: — Niech pani do niego podejdzie, to Sieroszewski. Napewno kupi bilety.

Stał tak w ramie drzwi niski, krępy, w wysokiej szwoleżerskiej czapie, z pięknie rozłożonymi amarantowymi kłapanami na piersiach, w siwym mundurze. Mimo szwoleżerskiej ozdobności, nie był wcale imponujący. Jego czerstwa twarz, mały suchowaty nos, siwe wiarusowe wasy — budziły raczej wesołą zyczliwość. Wesołość spozęgowała się na widok binokli, tzw. cwikiera, osadzonego chwiejnie na nosie i zabezpieczonego czarnym jedwabnym sznurkiem z przesuwalną baryłeczką szmuklerskiej roboty. Sznupek, założony za prawe ucho, psuł stylowość czapy, wylogów i całego szwoleżerstwa munduru. Przypatrywałam się Sieroszewskiemu długo, zawstydzona rozczarowaniem, że taki jest — i strojny i niepokazny. Sieroszewski powiedział informując i nieco chępliwie: — Szwoleżerski strój, proszę pani, według historycznej tradycji.

Pochrzczając, tłumaczył się, że jest na urlopie i że nie bardzo mu ten teatr potrzebny. Powiedział: — Na sztuce Przybyszewskiego? A mnie to na co? I dla innych nie w porę, nie w czasie takiej sztuki. Ale, że gra obywatel Adwentowicz — wezmę. Niech pani wie, że tylko dla obywatela Adwentowicza... dla kolegi. — Bo i Adwentowicz, znany aktor, był na urlopie, więc Heller od razu zaprzęgił go do teatralnej służby. Adwentowicz — legionista, tak samo szwoleżer, ale piękny jak sam książę Józef Poniatowski, zdecydował o losie moich ostatnich biletów.

Na karykaturze Sichulskiego szwoleżer Sieroszewski budzi postrach w szeregach



W r. 1927 polski PEN-klub urządził przyjęcie na cześć Wacława Sieroszewskiego, na które przybył Marszałek Piłsudski

kozackich według słów Caesara: „Inimici cum conspexissent, terga verterunt” (Gdy go nieprzyjaciele spostrzegli, rzucili się do ucieczki). Tak więc się stało owego wiedeńskiego poranka, że przepadł sybirak, przepadł ulubiony pisarz wczesnej młodości, a został obraz legionowego szwoleżera i została żywioła wesołość pierwszego spotkania.

Wprędce też przepadły enkaenowe biura, przycichły spory i szarażyły anegdoty o krakowsko-wiedeńskiej polityce. Przyszły warszawskie czasy, dwadzieścia lat pracy i wolności. Sieroszewski, zrzadka już tylko nazywany: Sirko, ujawniony pełnym imieniem i nazwiskiem w tej wolności, dla której uzyskania był sybirakiem i legionistą, powoli wracał do piśarstwa. Nie potrafił jednak porozumieć się ze współczesnością ani formą, ani tematem. Zawisły między niebem a ziemią, był jak Twardowski, który aż w dwóch powieściowych wersjach zniechęcał czytelników. Prawie równocześnie bowiem młody pisarz Wołoszynowski piętnościowo wystylizował legendę o czarnoksiężniku, a stary pisarz Sieroszewski „bez fasonu”, archaizując zlekka, dał przeciętną historyczną powieść. Poklepalili go po ramieniu krytycy, stary nadrabiał miłą i pocieszył się przezostwem w Związku Zawodowym Literatów.

Był tym prezesem przez wiele lat. Dobroduszny i akuraty, przychodził na nasze posiedzenia na Bracką, zawsze trochę zadyszany, zawsze gotowy opowiadać o Syberii, o robocie niepodległościowej, o ruchu robotniczym dawnej Warszawy i Łodzi. Pochrzczając, mówił jednak płynnie, wesoło i interesująco. Nie wia-

domo dlaczego w tym czasie odradzającego się Państwa i odradzającej się po wojnie Europie straszyl publiczność odczytami o „żółtym niebezpieczeństwie”. Był przekonany, że doskonale zna sprawę Dalekiego Wschodu, choć znał tylko charbińsko-mandżurskie „pobrzeże” tej sprawy. Z odczytami wyruszył więc na prowincję, gdzie jego polityczne horoskopy o zalewie japońskim, grożącym przez Chiny Europie, natrafiały na poprzek Chiny Europe, natrafiały na obojętność słuchaczy. Myślę, że w tych obojętność słuchaczy. Myślę, że w tych latach nawet obywateli Stanów Zjednoczonych nie przejmowałby się zbyt niechętnie antyjapońskimi argumentami. Ale Sieroszewski zaperzał się i roznamiętniał jak prorok.

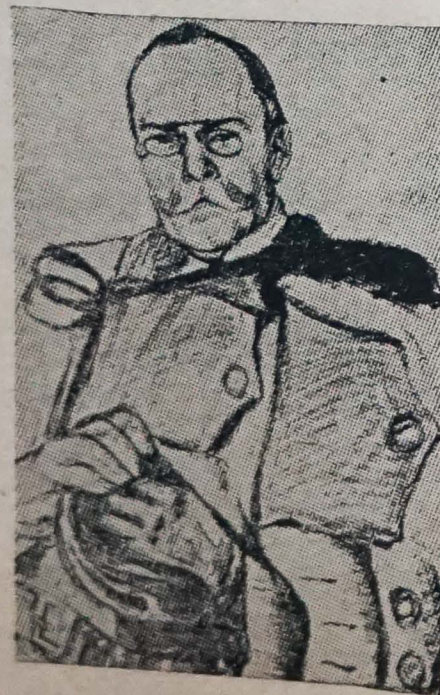
Zgodliwy i godzący wszelkie wąśnie koleżeńskie, nieraz wybuchał namiętnym gniewem w sprawach dotyczących polityki. Czerwieniła mu wtedy skóra pod siwą czupryną, chrząkanie przed sobą, kiedy sam jak gdyby młodocian w walce, gotów iść na barykadę, albo celował z legionowego karabinu. Burze przechodziły i Sieroszewski był jubilat, upojony mowami starych i młodych. Kiedy Lechoń na jubileuszowym bankiecie adresował do niego dobre słowa, a pod koniec przyszedł Marszałek Piłsudski, aby uściskać milego legionistę-jubilata. Sieroszewski w nowiutkim

*) Nakładem Biblioteki „Orla Białego” ukazał się zbiór opowiadań Sieroszewskiego: „Powieści Chińskie”, Rzym, 1945 r.

fraku stanął na baczność i meldował się według swojej szarzy wachmistrza. I tak, jak trzeba, wysunął lewą nogę na: „spocznij” Marszałka.

Wszystko jednak, co bywało pociechą dla Sieroszewskiego, miało cechy — spuścizny. Nawet to, że został prezesem Akademii Literatury mumifikowało pisarza, skoro sekretarzem był Kaden Bandrowski, którego temperament unicestwiał żywych i umarłych. Nieraz patrzyłam, jak pan Prezes w otoczeniu akademików z dostojną lecz osowiałą miną usiłował ściągnąć i zaszczyt swój i swoją przeszłość. Trzeba było wielkiego wysiłku wrodzonej skromności tego człowieka, żeby zachować równowagę ducha między sceptycznym Irzykowskiego a przyjazną ironią Boya-Zelńskiego.

Pod koniec tych uroczystych zebrań w Akademii miał Sieroszewski swoje chwile zadośćuczynienia. Stawał w drzwiach i gospodarskim, gościnnym ruchem ramion zapraszał gości na „skromne przyjęcie”, na „małą zakąskę”. Zapraszał nie byle kogo, bo Rząd w komplecie, bo wysokich dygnitarzy wojskowych i cywilnych, bo dyplomację, profesorów, pisarzy, artystów. Rozkładał ramiona, uśmiechał się. Gdyż na miejscu, w pismach codziennych, tygodniach literackich, kawiarniach huczala niemila sprawa jego „Bajek”. Młodzi i ci, którzy jeszcze nie weszli do Akademii, podjęli koncentryczny atak na starego pisarza, na Prezesa. Daleki w czasie i przestrzeni Sybir, miniona szwoleżerska duma, niepowrotna piśarska twórczość... Prezes stał w drzwiach i uśmiechając się, może sam już nie pamiętał o daw-



Wacław Sieroszewski (z „Teki legionowej” Leopolda Gottlieba)

nych sprawach, walkach, ludziach, wrzeniach. Pałacowe sale, stare mahonie, żyrandole w pełnym świetle — nasyczone barwy, syry, świetny świat Stolicy, zaszczyty i bolesne kąski — oto tło dla Prezesa stojącego w odrzwiach, jak portret w ramach.

I nagle wstrząs: te małe, grube ręce, które tak gościnnie kierowały falą ludzi ku sali jadalnej — te ręce zachowały ro-

boczą twardość katongi i siny kolor od mrożeń sybirskiej zimy.

Przez długie lata wojny, okupacji, grozą przejmujących wiadomości z Kraju, nieraz pytaliśmy: co z Sieroszewskim? — Wydawało się, że ten mocny starzec przetrwa wszystko. Nie mógł oczywiście schronić się w Gdyni do swojej willi na Kamiennej Górze. W tych „wcielonych”

KOLEDA W GÓRACH

Zima. Góry moje dalekie w okowach śniegu i mrozu lśnią brylantami w słońca południe, błękitno-opalowym światłem w miesięczne noce. Świerki i jodły jak koronki tkane ze srebrnej nici. Tęsknię za wami, góry moje i drzewa i ludzie prości, twardzi. Tęskniąc — przypominam. Styczeń. Godni miesiąc, bo otwierają go Godnie Święta, tak do dziś dnia nazywane w górach, Święta Bożego Narodzenia. I wtedy też zaczynają się „gody”.

W tęszność młodzi góralskiej, która u „ojców” odpowiedniego miejsca dla sił swych nie znajduje, bo gruntu mało — szuka zajęcia dla rąk swych młodych, żądnych pracy, u gazdów. Gazdowskie maiałki są większe. Stosunki między gazdami a „czeladzią” do ostatnich czasów, do wybuchu wojny były patriarchalne i dobre.

Jednym z odwiecznych zwyczajów było udzielanie płatnych urlopów służbie, w okresie Bożego Narodzenia i Trzech Króli. Człedź, obdarowana hojnie przez gazdów kołędą, odchodzi do domów na dwa tygodnie. Wtedy też odbywa się gozdenie nowych sług. Zapewnieniem umowy całkowicie słownej, obowiązującej na cały rok było wypłacenie zadatku, tzw. „kołedy”.



Tadeusz Mróz: Zima

Wesoło, z radosną śpiewką rozbiega się młódź do „ojców” z wędzłkami wszelakiego dobra, niesionego do domu. I zaczyna się najmilszy okres dla wsi. Młodziem ma czas! Wysypia się dowoli, odwiedza wzajemnie, ale przede wszystkim wywija się w przeróżnych kołędowych obrzędach.

Bo przecie czas to nie byle jaki, na niebie gwiazda Trzykrólowa świeci, mamusie i dziewczki o Dzieciątku Bożym śpiewają. Więc zbierają się chłopaki i przygotowują szopki, gwiazdy, turoń, niedźwiedzie, kozy, koniki. A każda z tych form osobnym świętoma jest obrzędem.

Pamiętam: choinka w blasku sztucznych ogni i świeczek, przycichająca kołędą i ten nastrój bezpieczeństwa, ciepła i miłości, zapach igliwia i świat i najdroższa ręka ojcowiska na dziecięcej głowie. Nagle ujęt licznych nóg po zmarzniętej ziemi, ostre szczekanie psa, władcze pukanie do drzwi laską i głos:

*Idemy tu po kołędzie,
Niek wam za przykro nie będzie.
A cy będzie, cy nie będzie,
Kołodować zwyczaj wszędzie.
Pon Jezus się rodził,
Po kołodzie chodziul,*

ziemiach polskich nie było już miejsca dla niego. Umarł w Warszawie przed Powstaniem, a może podczas walk, doczekawszy się nowych barykad i dalszego rozdziału dziejów walki o wolność. Prawie chce się powiedzieć: Bóg mu oszczędził widoku „wyzwolenia” Kraju, oszczędził staremu sercu sybiraka powrotnych przeżyć.

Herminia Naglerowa

*I my tyz grzyźni
Z sopką przyšli!*

Ojciec kazał drzwi otwierać szeroko. Z przecięciem ostrego mrozu, wonią koczuchów i tytoniu, wtłaczała się ciżba bezkształtna zrazu. Potem w świetle lampy odróżniały dziecięce oczy: szopka! Wielka, cudna, a w środku stajenka strzechą kryta.

Szopkę ustawiono jednym rogim na stole, drugim oparto o poręcz krzesła. Za szopką muzyka. Skrzypki, basy, klarnet i trąbka. Chwila wyczekiwania. Świeczka na przodzie szopki zapłonęła bladym błaskiem, odsłania się mała kurtynka i ... zaczyna się misterium.

Oto anioł rzeźbiony pięknie w drzewie, „uzdajany” jak żywy, przedziwnie „anielskim” głosem głosi swoje „Gloryja” pastuszkom. Ci wnet się zbierają, każdy z czym kto może, nawet ten Walek kulawy na kozie do Betleem jedzie pokłonić się Dzieciątku.

Potem Herod okrutny i śmierć i diabeł i ta radość dziecińska, że misternie w drzewie wycięta pani jasnokościasta, naprawdę ścina ostrą kosą Herodową głowę, że d'ablisko na widłach wynosi postać szkarłatną ze słowami: „Za twe gwałty, za twe zbytki, chodź do piekła boś ty brzycki!”

I znów świat zła, które ludziom dokuca, a którego panowanie już się kończy: czarownica masło robąca i jej kum diabeł. Jak te dwie poręzi zła wzajemnie niepolitycznie się zachowują! Nas dzieci — zawsze to bardzo zawstydzało.

Potem świat na pograniczu pojęć dobrego i złego: — cygany, którzy kradną; Ma'gorzarka nic dobrego, chce tylko tańczyć z góralami; Kuba, który się diabła samego nie boi i zwycięża go w bitce, też śpiewa i tańczy pięknie zbójnickiego. Jest i dziadek proszalny z wielką miską w ręce, tak przemyślnie każdemu przypowie, że boeacz musi datek rzucić.

Wreszcie ziółek! Maryjka, Józef, Dzieciątko i, co najbardziej wrusza dziecięce serce: wół i osioł przy złobie, pastuszkowie, trzej królowie; kro żyw śpieszy i Bogu hold oddaje. Wreszcie wszystko zacicha w przestodkiej kołędzie. Nagle — roświewiają się wszystkie okienka, tajemnicze drzwiczki się otwierają, muzyka ucinna drobno, co kalekom nawet „pod nogi” idzie i cała szopka żyje, tańczy aż się trzęsie! W jednym okienku drwale rabia, w innym całe barwne wesele tańcuje, tam cepami zboże młóca, tu zaś barany się boją. I wszystko, jak żywe! Świeczka gaśnie. Czar pryska. Teraz po latach, na zimno można omawiać artystyczne wykonanie lalek, ograniczoną e-

fektów głosowych, które robi 1 — 2 „utalentowanych” głosowo artystów domorostych. Ale w latach dzieciństwa to wszystko jest cudowne, niezapomniane.

Osobno chodzą z „turoń”, przez Żeromskiego uwiecznioną zjawą. Zwierzak straszliwy o łbie rogatym, z kudłatym tułowiem, czerwonym jęzorem wywalonym z pyska. Żeby był bardziej dokuczliwy w dorknięciu, na pysku ma przybitą skórę z jeża.

Idzie z nim Cygan, Cyganka, Dziad i Dziadówka i nieodłączny od naszych wsiowskich interesów Żyd pejsaty.

Pierwszy Żyd wbiega do chaty i głosi, że ma „takiego zwierza, co to nie mówi pacierza, ale tańczy bardzo pięknie, kto uwidzi to się zleknie; że jego „zwierzak” — uchodziło nóżki po kolana, i chce sobie odpocząć u dobrego pana”.

Więc go zapraszają. I za chwilę znów pod drobnią porywistą polkę tańczy cały zespół kołędniczy. Przy tym dziad z dziadówką do garczków zagłądają, a jak jest co dobrego, to zjadają naprawdę. Cyganika chwytają „szmaty”, czasem porządnią dziewczynską chustkę, lub zapaskę, aby małe szmaciane cyganiak przewinąć. Cygan ciągnie co może, albo chwytają kota. W ogóle świat się kończy!

A turoń? Turoń ma lepszy gust. On koło dziewcząt się kręci, bojąc, kołąc gdzie dopadnie, toteż w chacie zgiełk i lament się podnosi nie udany, prawdziwy.

Wreszcie! Strach! Turoń pada na ziemię i zdycha. Muzyka milknie. Żyd lamentuje. Każdy chce zwierzątko ratować. Dziadówka czary odczynia, cygan i cyganka skórę chcą złupić, ale zabiera ich dzielny policjant. Wreszcie gospodarz podaje lek niezawodny na wiejskie strapienie: wódkę. Żyd najpierw próbuje, potem daje zwierzątku i — turoń ożywa. Wtedy znowu wszyscy z radością tańczą.

Teraz wolno turońowi zdiąć skórę i pokazać swoje oblicze. Jest to zwykle najzgrabniejszy chłopak we wsi. Kołędniczy obdarowani, odchodzą, czasem jednak gościnnie zatrzymani, tańczą i bawią się do rana.

Z niedźwiedziem, z kora, obrzęd jest prawie identyczny, zresztą zawsze zależy od inwencji i dowcipu artystów-kołędniczków.

Konik betlejmski to jakby brat rozdany lajkonika. Jedzie na nim wspinał ubrany król, który wiele nie mówi, o drogę do Betleem pyta i pięknie przy muzyce tańcuje.

Do największych jednak obrzędów kołędowych należy Gwiazdka. Staje za oknem świecąca, wielka, kolorowa, obraca się w takt kołedy. Zapowiada ona całe wielkie misterium jasełkowe, odgrywane już nie przez szopkowe kukielki, ale przez własny prawdziwy teatr.

Gdy się więc drzwi otworzą, gdy wejdzie Gwiazda i tłum, który jej towarzyszy, zaczyna się najdziwniejsze przedstawienie, jakie w dzisiejszych czasach widzieć jeszcze można. Bo oto wchodzi wszystkim znany Antek w białej koszuli, z grzywą włosów lnianych i cienko wypiękuje, że się Bóg narodził. Skromne kartko zastępuje tron Heroda. Jeden tylko rycerz z mieczem przedstawia jego militarną potęgę.

Tylko ziółka „gwiazdory” nie przedstawiają. Wyczuwają, że tymi środkami



Turoń

tej Wielkiej Prawdy przedstawiać nie trzeba.

Prócz tych obrzędów kołędowych, przygotowanych na długi czas naprzód, są i inne, mniejsze, w zakresie samych



„Czarownica“ i „diabeł“

zyczeń tylko istniejące. I tak na św. Szczepana chodzą „podłazniki” z owsem. Ledwo świt, wchodzi taki do chaty, po ludziach i kątach owsem bije i skandując, głośno życzy:



„Dziadus“ z szopki

*Na szczęście, na zdrowie;
Na to Boże Narodzenie,
Żeby się darzyło
w oborze, komorze,
Daj Panie Boże!
Snop przy snopie,
Kopa przy kopie,
Gospodarz między kopami
Jako jeden mieszko
Pomiędzy gwiazdami.*

*Żeby się darzyło
krówki mlycne
i owiecki śliczne,
gęski siodlate
i karki cubate,
Żeby się orali
Siedmioma koniami.
Jak nie siedmioma
To sześcioma,*

*Jak nie sześcioma
to pięcioma.
Jak nie pięcioma
to styroma,
Jak nie styroma
to trzoma,
Jak nie trzoma
to dwoma,
Jak nie dwoma*

*To jednym, ale zato godnym.
W każdym kątku po dziecięciku,
A na piecu troje!*

Chodzą też i dziewczki, podrostki, „nowościetka”. Zaraz po zmianie starego roku na nowy, wybiegają z domów, biorą się za ręce i przez ośnieżone pola i krzaki biegną od chaty do chaty z dobrą nowiną. Stają pod oknami śpiących chat i młodymi głoskami wykrzykują: — „Z Narodzeniem Pana dziś dzień wesoly”. Otwierają się drzwi, lub okno ciepłym dmucającym i czyjaś dłoń życziwa podaje z serca kołędę.

Żyją te zwyczajy i teraz, choć w bólu i w łzach. A dziś niejednym znak, niejedno „posłanie” przesła w tajemniczym kołędniczy.

Kiedy otworzą się chaty wasze gościnnie, kiedy powitają nas wasze serca, i kiedy powiemy sobie „dobrą nowinę”?

Maryna Chwalibóg

NOWE KSIĄŻKI

Nasze granice w Monte Cassino — Antologia walki — oprac. Jan Biełatowicz — Rzym 1945 — cena za egz. 65 lirów.

Gody Życia — Adolf Dygański — cena za egz. 50 lirów.

Podręcznik do nauki języka angielskiego — w 30 lekcjach — Mgr Dominik Maciejko — Rzym, 1945 — cena za egz. 60 lirów.

Pan Tadeusz — Adam Mickiewicz — Rzym, 1945 — cena za egz. 70 lirów.

Śląsk Opolski — M. K. Dzwianowski — cena za egz. 15 lirów.

Rozmyślenia Polaka o sprawie powrotu do Kraju — Ryszard Wraga — cena za egz. 10 lirów.

Smuga cienia — Joseph Conrad — cena za egz. 70 lirów.

Młodość, miłość, awantura — Piotr Chojnowski — cena za egz. 50 lirów.

Bardzo to niemiła historia, że siadam do pisania bożonarodzeniowego felietonu, a śniegu ani-ni. Za oknem leje deszcz tak długo i jesienią, jak... jesienią deszcz. Nie można się rozklejać nad pogodą, skoro mamy tak dużo serdecznych niedostatków, a trzeba nie tylko żyć - przeżyć, ale żyć, aby dożyć.

Wspomnienia są jak marzenia: używane bez umiaru doprowadzają do gnusności, do życiowego grafomanstwa. Zresztą - to wam obiecuję napewno - w tę noc wigilijną każdy z was wróci do swojego domu, usiądzie na chwilę na dawnym miejscu przy stole, może odnajdzie pod choinką jakiś podarunek sprzed lat i będzie mógł tak długo tam pozostać, dopóki mu się czoło nie zachmurzy. Bo taka jest „twardowskiada” tego cudownego układu: - wolno poruszać się w czasie cofniętym o lata... kiedy twój dom był napewno cały, a przy drzwiach stawał brat-gość - nie szpieł. Ale każda aktualna troska, każdy smutek fatalnego roku 1945 wróca cię momentalnie na twoje „m. p.”, choćbyś się zagalopował tysiące i tysiące kilometrów.

Moja droga będzie daleka i już szykuje sobie ciepłe rękawiczki. Nie wiem, w którym miejscu tej szaleniściej podróży przyjdzie mi się przesiąść w sanie - jać za Wilno do domu Marty i Pawła, chcąc zdążyć nim mały Rys zaśnie w swoim łóżeczku. Droga to niebezpieczna - i jeżeli, choćby raz tylko spojrzeć na tych, którzy jej strzegą, wszystko przedpadnie na nic, razem ze zgaszonym uśmiechem. (Taki jest układ!)

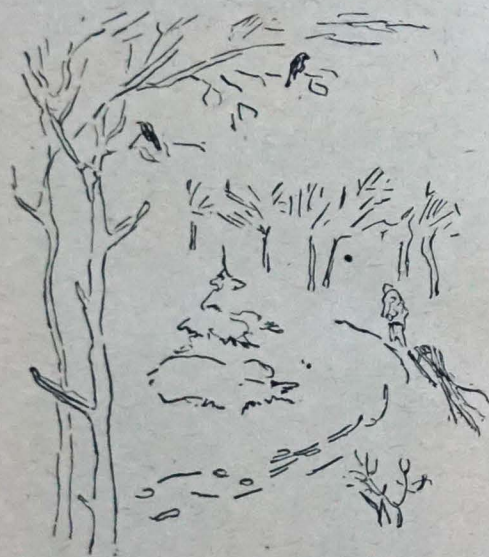
Przez Wilno przepędzę z zamkniętymi oczami, żeby mnie jaki cień podstępnie nie zatrzymał. Zresztą Wilno jest dzisiaj puste, tylko w więzieniu lukiskim czuwają jeszcze Polacy. Dostałam właśnie teraz wiadomość z Kraju o jednej młodej dziewczynie, że także siedzi tam zamknięta. Może jednak wiadomość ta jest spóźniona? Może ich tam już nie ma? W każdym razie bardzo to jest zgodne z ogólnym tonem historii tej wojny, że Wilno zostało najdłużej polskie w murach wpiętych. I nikt, ani z naszych wrogów, ani z naszych sprzymierzeńców, nie zakwestionował nam prawa siedzenia-rasiedzenia na Lukiszkach wileńskich nad daleką Wilią, za górami, za lasami, za zasiekami z drutów kolczastych, za ciszą zaniesionych śniegiem dróg.

Ale koledzy śpiewać będziemy. A nasze koledy to w większości melodie taneczne, którymi w dawnych, dobrych czasach zaczynało się karnawał. „Bóg się rodzi”... to polonez. „W łobie leży” to samo. Zdaje się, jeszcze wczoraj, przed-wczoraj wycinano na organkach w naszych wiejskich kościołach takie skoczne obrtasy, że śpiewano podobnie „hej koleda, koleda”, a nogom się chciało przystupywać.

Polonezem witali nasi dziadowie okres kuligów, jada, picia, balów i zalotów, targów przedślubnych i przedślubnych poetycznych amorów. (Później było gorzej: aśmęścianka dostawała klucze, zawile i trudne kłopoty gospodarskie, pośpiech męta w wyglądaniu pierwszordnego i na następny karnawał wdychała cichutko,

że nie jest już przedmiotem zabiegów, że nie dla niej to podkręcają w polonezie wasa). Ale nie tylko o zalecanki-cacanki tam chodziło. Karnawałowy czas był w dawnej Polsce okresem wzmoczonego życia politycznego, wieści i rozkazów wożonych kuligiem od dworu do dworu, od miasta do wsi, od zaboru do zaboru, i nieraz przy boku młodego zadźwięczała szabla. Och, dzwoniłyby tymi szablami jak gile, które dzwonią zimą koło naszych wiosek. Szabla? - Anachronizm. Jak polonez, kulig i cała katuszowa przeszłość. Czy mi żal? Żal. I proszę za sentyment nie mieć do mnie żadnych socjalnych pretensji. Zasypało śniegiem nasze drogi i nie kuligowymi saniami je się przetrze.

Ale koledy śpiewać będziemy. Tacyśmy to niby biedni, a takimi szerokimi ro-



Rys. K. Domańska

dzinami zasiądziemy przy wigilijnym stole. Ojoj, żeby się tylko udała uczta wigilijna! Pamięć podniebienia jest najmniej czuła niż pamięć zakochanego i falsyfikatorów nie lubi. Niepoci twierdzą, że złe humory legną się w żołądku, a pewien optymistyczny lekarz ośmielił się sugerować, że pesymizm mego męża pochodzi stąd, że może nie bardzo umiem gotować. Lekarze mają specyficzny dowcip polityczny. Mój szwagier dostał w piątym tygodniu powstania warszawskiego nerwowej czkawki. Bagatela: rozwaliły się nad nim trzy domy, jakaś szafa złamala mu rękę, pożar strawił listy Ziemstwa Poznańskiego, na które całą wojnę rachował (do przyścia bolszewików miały w Warszawie swój niezły kurs), bomby, „krowy”, gruba Berta... Czkawka trwała trzy dni i znajomi orzekli, że z tego można umrzeć. Szwagier poszedł do doktora, a ten go pyta z punktu: czy pan przypadkiem nie grywa z żoną w brydża?

O ile będzie lato przez święta, ta bridżowa historia będzie bardzo a propos w moim felietonie. O ile nie - panie będą miały zatrzęsienie świątecznych wizyt i przypominam, że jest naszym krajowym obyczajem częstować w święta gości domowymi specjaliami. Strucli z makiem nikt nie spiecz i nie zje.

W tym kraju (we Włoszech) nie znają maku do jedzenia - maki kwitną tu dla polskiej piosenki i cmentarzy. Ale w tym kraju są stosunkowo o wiele tańsze niż u nas migdały, a strucla migdałowa, jak i wigilijne mleko migdałowe są równie tradycyjne jak mak, a nawet w hierarchii społecznej stoją wyżej.

Chciałabym jakoś przypomnieć o tym św. Mikołajowi, gdy wybierze się w odwiedzin do naszych kucharek i kucharzy, ale nie wiem, czy ten święty uznał stan, obecnie panujący, za pokój. Bo św. Mikołaj jest pacyfistą z przekonania, choć nie jestem pewna, jaka była jego ziemską przeszłość. W każdym razie w czasie wojny unikał państw wojujących, chociaż w tym czasie kładł pod choinkę dla szwedzkich i szwajcarskich dzieci narty, niedźwiadki, książeczki i lalki. Nie jestem militarystką, ale nie wiem, czy miał rację. Trzeba by o tym porozmawiać z Aksel Munthe'm szwedzkim pisarzem i lekarzem, który dobrowolnie osiedlił się w Italii i stąd wypisywał ładne książki, a chwalił się, że ze świętymi jest za pan-brat. Ci święci muszą poza tym dobrze wiedzieć, dlaczego żadna z gwiazd zawieszonych na firmamencie nie jest ani pięcioramienna, ani czerwona. Przysłowiowa tak zwana „gwiazdka z nieba” jest tylko prostym spełnieniem marzeń.

Gdyby więc św. Mikołaj nie przyszedł do ciebie jeszcze i w tym roku z podarunkiem - to przyjmij, Czytelniku, ode mnie w prezencie najpiękniejszą z nich, wpróś zerwaną z wigilijnego nieba. I śpij spokojnie tej nocy, chociaż za oknami nie bieżą konie w sankach i z ulicy nie dochodzi odgłos ich dzwonek: „dzyń - dzyń - dzyń”!!

Barbara Toporska

ODPOWIEDZI REDAKCJI

P. Orzelski Władysław - Dziękujemy za miłe słowa, a zwłaszcza za zainteresowanie naszym piśmem. Nie wszystkie jednak rady i pomysły Pana są wykonalne, a niektóre są spóźnione. W miarę bowiem możliwości wysyłamy „Ochotniczkę” na teren Francji, Niemiec, Afryki, Nowej Zelandii, Anglii, Ameryki. Konieczność (nie z naszej winy i nie po naszej woli) ograniczenia wysokości nakładu sprawia, że ilość wysyłanych egzemplarzy jest rzeczywiście nie wystarczająca. Opieka nad kobietami w ośrodkach, o których Pan pisze, istnieje - również w miarę możliwości... Jeżeliby do rąk Pana wpadł numer majowy (1945) „Ochotniczek”, znalazłby Pan tam obszernie omówienie rozmaitych działów służb i pracy P.S.K. Numer ten był właśnie czymś w rodzaju pamiątkowej publikacji.

W liście Pana nie ma nic „zuchwałego”, nic, co by nas mogło dotknąć. Przeciwnie - każdy objaw współpracy Czytelników z nami sprawia nam dużą radość.

Mohort - Z wiersza „Przed zbitym świątkiem klęknieisz”, nie skorzystamy. Jeszcze nie nadaje się do druku. (c. d. „Odp. Redakcji” na str. 23)

„O czym tu myśleć na tym rzymskim bruku?”... Czyż nie było by lepiej myśleć przynajmniej wybiec do czasów dawno minionych, do czasów bez raketowych samolotów, kiedy stalowy robot napędzany atomową energią, a kierowany myślą, nie podsuszał zapalnego papierosa, nie ścigał usłużnie wieczorem butów (co według „ujawnionych” wiadomości będzie mieć miejsce w Ameryce już w pierwszych miesiącach przyszłego roku)? Czyż nie przyjemniej było by, zagłębiwszy się w stare książki, lubować się pięknem w nich zawartym, uczyć się z nich mądrości, a może mniej błyskotliwej, może rozłożonej na przestrzeni lat czy stuleci, lecz równocześnie jakże pełnej oroku po raz pierwszy objawionej tajemnicy?

Jakże dobre, jak piękne wtedy stało by się życie! Mimo to, może niejedna z naszych dzielnych drajwerek, idąc za ogólnym postępem, marzy w skrytości ducha o rekordach, które niezadługo znacznie osiągnąć na swym starym gracie „opalanym atomową bombą”; niejedna radiotelegrafistka śni może o najnowszym wynalazku, pozwalającym odbiorcy jej szyfru oglądać równocześnie „przez telewizję” uśmiechniętą, śliczną jej buzię. Zaprawdę, świat idzie naprzód, a kto nie dotrzyma mu kroku - zostanie zmiądzony.

Lecz czas upływa, a zasadniczy temat poruszony jeszcze nie został. Mam dzisiaj, stosownie do niełitościwego żądania Redakcji, zerwać z alchemią i napisać „naprawdę poważny” artykuł. Zgoda i to potrafi! Lecz, że wspomnienie sielskiej przeszłości rozkuliwiło mnie trochę, a powtóre i przesądny w miarę jestem, bo to, jak mówi przysłowie: „do trzech razy sztuka” - jeszcze tylko ten jeden raz! A tamten „na pozóbie” już jako następny. Na gwiazdkę!

Przytoczone w artykule poprzednim wiadomości o alchemii, kamieniu filozoficznym, przemianach wewnętrzno-atomowych itd. nie byłyby kompletne, gdybyśmy nie poruszyli i nie omówili drugiej właściwości kamienia filozoficznego, która dopiero obok zdolności zamiany innych ciał na złoto, daje pełny obraz jego nadnaturalnej potęgi. Jest nią ów płyn cudowny, otrzymywany przy pomocy kamienia, a zapewnijający śmiertelnikowi wieczne życie w wiekuistej młodości: tajemniczy eliksir życia, o którym każdy z nas wielokrotnie już słyszał (a może po cichutku i marzył czasami, jakby to było dobrze...). Dumas „Naszyniku Królowej” obrazowo przedstawia moment regeneracji sił starca bezpośrednio po zażyciu cudownej kropli, ofiarowanej przez Cagliostro: „Przymglone oko rozbiło dawny światłem, zmarszczki na czole i twarzy wygładziły się i znikły, zgarbiona postać zaczęła się nagle prostować. Markiz (które-

go nazwisko wyleciało mu z pamięci) chwycił za nóż i widlec i wbił je z uśmiechem w ciało tłustego indyka, aby zaspokoić głód dawno już nie odczuwany”. Po godzinie twarz zaczęła się znów marszczyć, policzki obwisły, oko zgasio i oto za stołem biesiadnym siedział zgarbiony starzec, roniący łyzy gorzkiego zawodu i rezygnacji.

Być może, że jakiś matematyk-malkontent chciałby w lot obliczyć, ile kropli trzeba by na dzień cały, na miesiąc, rok, wreszcie na jedno głupie stulecie, i czy wobec przypuszczalnych cen tego artykułu, oplaci się cała operacja. Ale, że pocieszenie strapiionych jest moim obowiązkiem, niemal że zawodowym, muszę odrazu „ujawnić”, że przecięt markiz był starcem zgarbionym, a co innego jest podtrzymać



Jeden z alchemicznych wzorów z książki Basilio Valentino „Wielkie Zagadki”

siły jeszcze istniejące. Powtóre w miarę użycia, organizm niewątpliwie przyzwyczaił się do potrzeby jego stanąć się mnijsze. Wiemy wszyscy, że alkoholik-fachowiec, po szklance wina jest już „gotowy”, gdy często niewprawy żółtodziób pije i pije, nim cel błogostanu osiągnie. Dla ludzi nie znoszących płynów, można zrobić pastylki, a ceny wobec masowej produkcji (bo przecież chyba ten towar pójdzie) również nie będą zbyt wysokie. Czy więc jest jeszcze jakiś powód do zmartwień?

A swoją drogą ludzie są nieuczliwi. Zamiaszt uszanować i uznać prawa do eliksiru wynalazców sprzed stuleci (bawie się nimi jedynie w chwilach wolnych od zajęć), biorą się do tego na serio, zaczynają się grzebać i kto wie czy i tu, podobnie jak się miało z U235, nie popełnią czegoś w rodzaju nadużycia i plagiatu. Na złość wszystkim każą człowiekowi żyć wiecznie. Na razie odbywają się jedynie studia i rozważania teoretyczno-laboratoryjne, których w dostępnym mi zakresie nie omieszkam przedstawić.

Że materia i energia w istocie swej są jednym i tym samym, i zależnie od szeregu czynników zewnętrznych ulegają wzajemnym przekształce-

niom jedna w drugą - jest dzisiaj naukowym pewnikiem. Członek Akademii Francuskiej Maurycy de Broglie pierwszy wysunął to przypuszczenie, a słynny autor teorii względności Einstein - udowodnił to matematycznie. Jak już wiemy, atom najprostszego pierwiastka - wodoru, zbudowany jest z jednoprotonowego naładowanego dodatnio jądra i z krążącego po orbicie zewnętrznej ujemnego elektronu. Atomy innych pierwiastków różnią się od siebie ilościami protonów w jądrze, decydującymi o ich właściwościach fizycznych i chemicznych, i z elektronów, których liczba odpowiada każdorazowo równowadze elektrostatycznej całości. Rzuci się w oczy olbrzymia rola, jaką odgrywa ładunek elektryczny w budowie materii, oraz samorzutna dążność tej ostatniej do zachowania równowagi wewnętrznej atomu.

Jest dzisiaj również rzeczą dowiedzianą ponad wątpliwość i każdy lekarz zaświadczyć może, że roślinna plazma komórkowa posiada ładunek elektryczny ujemny. Podobnie krew ludzka, lub zwierzęca jest tego samego znaku i można to stwierdzić przy pomocy elektroskopu, bowiem koloidalne zawiesiny serum, to jest ciała krwi białe i czerwone, są elektrycznie ujemne i by koloid był trwały, krew musi ten sam znak posiadać. Doświadczenia potwierdzają to całkowicie. Dla wyjaśnienia podajemy, że koloid jest to materia w fazie ogromnego rozdrobnienia, zawieszona (nie rozpuszczona) w jakimś obcym środowisku ciekłym. Jeśli znak elektryczny zawieszonych cząsteczek i środowiska jest jednorodny (elektrostatycznie odpychające cząsteczek), koloid jest trwały tzn. nie wykazuje tendencji do osadzenia się lub ścinania. Przy znakach różnych - może ono nastąpić. By temu przeciwdziałać, wprowadzamy wtedy jakiś elektrolit, który zrównoważy różnicę potencjałów elektrycznych, lub inny koloid, jak go wtedy nazywamy - ochronny, którego ładunek wespiera koloid ochraniający. Chemia koloidów posiada olbrzymią literaturę specjalną, w której nazwiska Brown'a i Smoluchowskiego stoją na miejscach czołowych. Odgrywa ona decydującą rolę w fizjologii zarówno świata zwierząt, jak roślin.

Lecz wróćmy do zasadniczego tematu i zastanówmy się skąd pochodzi ujemny ładunek krwi? Podstawą naszego odżywiania się są wszelkie formy pochodnych węgla. Dwutlenek węgla, który powstaje po spalaniu przez nasz organizm, wydzielają częściowo płuca, częściowo osadza się on we krwi w formie węglanów i dwuwęglanów. Te ostatnie stanowią jedną z głównych przyczyn dotręganego zjawiska, niezłobnego dla wzmocnienia stanu koloidalnego serum, warunkującego z kolei utrzymanie organizmu w zdrowiu i w

ogóle przy życiu. Przy najmniejszym natomiast doprowadzeniu elektryczności o ładunku dodatnim, stan koloidalny zostaje natychmiast zakłócony, organizm zaczyna chorować i w rezultacie zamiera.

August Lumiere, który od lat z górną dwudziestu poświęca się badaniom tych zjawisk, twierdzi, że jedynie stan koloidalny warunkuje i decyduje o życiu. Odwrotnie, najmniejsze zaburzenie go przez koagulację lub ścięcie, oznacza chorobę i śmierć bez ratunku.

Jak wynika z przytoczonego dotychczas, jednym ze sposobów ochrony lub regeneracji zagrożonego stanu koloidalnego naszego serum, a tym samym przeciwdziałaniem chorobie, było by w prowadzenie do organizmu jakiegoś środka o ładunku ujemnym i dostatecznym potencjale elektrycznym, w celu podniesienia naturalnego

ujemnego znaku krwi i w konsekwencji przeciwdziałanie ścinaniu. Jeśli będziemy rozpatrywać nasze możliwości w tym względzie, nie trudno wpaść na pomysł, że „wolny” elektron byłby tu najbardziej odpowiedniejszy. W takim właśnie stanie występuje on w promieniach „beta” (promień beta — strumień elektronów) w czasie promieniowania ciał radioaktywnych, a radu „D” (według dotychczasowych badań) w szczególności. Iznów praktyka potwierdziła teorię Stosowanie małych dawek radu „D” w postaci odpowiednich wód mineralnych (naturalnych i sztucznych) dało, według „zestań” lekarskich opinii, doskonałe rezultaty.

Lecz jak „dozować” każdorazową ilość elektronów, potrzebną w danej chwili organizmowi, w jakiej formie stosować ją, by nie popełnić omyłki

i doprowadzić ilości jedynie każdorazowo optymalnie, gdy na ładunek naszej krwi, po za wspomnianymi węglanami, wywiera wpływ tyle innych czynników? I czy po rozwiązaniu tego problemu życie nasze zostanie przedłużone w sposób naturalny, a stosowany środek stanie się wówczas owym eliksirem wiecznego życia i wiecznej młodości? Na pytanie to spróbujemy odpowiedzieć innym pytaniem: Czy rozkład U235 zostanie opanowany kiedyś do tego stopnia, że energia jego zamiast burzyć i niszczyć, będzie wyzyskana dla dobra ludzkości? Jeśli to się stanie, to kto wie, czy naprawdę U235, jako „filozoficzny kamień” w dziedzinie przemiany materii i energii, nie stanie się uniwersalnym kamieniem mądrości, przynosząc nam, jeśli nie wieczną, to przynajmniej długą młodość i zdrowie?

Inż. Henryk Majewski

poziomu jego budowy, jak i ze stylu jego dekoracji fresków, która musiała powstać równocześnie z malowidłami pompejańskimi drugiego stylu, a więc pod koniec pierwszego wieku przed Chrystusem. Widzimy tam po dzień dzisiejszy „tablinium”, pokoje reprezentacyjne, pokryte freskami. System zdobniczy polega na architekturze fikcyjnej, która dla oka miała rozszerzyć skromne rozmiary w fikcyjnych oknach, wychodzących na malowane ogrody, oraz na scenach mitologicznych, tworzących obrazy w ramach tej architektury. Reszta domu składa się z dwunastu pokoi mniej świetnie utrzymanych — dom prywatny bez szczególnych wygód, czy luksusów. Rurki o wiane w nim znalezione, zdają się napisać swymi wskazywać na właściciela: czytamy na nich imiona JULIA AUG(USTA). Tak po śmierci cesarza Augusta, nazywała się adoptowana przezeń w testamencie jego małżonka.

Gdy miała lat dziewięćnaście, a była żoną Tiberiusa Claudiusa Nerona, zakochał się w niej dwudziestopięcioletni Caesar Octavianus, walczący wtedy z Antoniuszem o panowanie nad światem. Uczucie było tak silne, że wówczas, raz jedynie w życiu Augusta czyniami jego pokierowała namiętność. Żonie swej Scribonii dał rozwód w samym dniu urodzenia się ich córki Julii. Liwii zaś porwał z domu męża, choć spodziewała się dziecka i wzięła ją do siebie. Poślubił ją za specjalnym pozwoleniem pontyfikalnym, pomimo jej stanu (r. 38 przed Chr.).

Małżeństwo Oktawiana z Liwią pociągnęło za sobą skutki polityczne na bliższą i na dalszą przyszłość. Ojciec jej, Livius Drusus Claudianus, był jednym z przywódców partii senatu, przeciwników Cezara, i brał udział w bitwie pod Filipi, po której wkrótce zmarł. Niezwykle piękna i równie ambitna Liwia poślubiła bardzo młodo człowieka tego samego pochodzenia, nawet z

nią spokrewnionego, z którym miała dwóch synów, Tyberiusza, przyszłego cesarza, oraz Drususa, którego oczekiwała, gdy została żoną Oktawiana. Małżeństwo z członkinią arystokracji rzymskiej oddało Oktavianowi wielką przysługę, gdyż mądra i pełna taktu Liwia potrafiła od pierwszej chwili stworzyć potężne ogniwo między nim a partią senatu, która dotąd trzymała się z dala od następcy Cezara, człowieka młodego o pochodzeniu burżuazyjnym i prowincjonalnym.

Na późniejszych dziejach Rzymu małżeństwo z Liwią zaważyło w sposób decydujący. Jej to potomkowie stali się następcami Augusta, ale „gens Claudia” nie przyniosła Rzymowi szczęścia. Byli to wprawdzie w większości ludzie o niezwykłych zdolnościach i energii, ale na umysłach Tyberiusza, Kaliguli, Klaudiusza i Nerona ciążyło najstraszniejsze przekleństwo, jakie może obarczyć rodzinę — przekleństwo choroby umysłowej.

To tragiczne dziedzictwo zdecydowało o losach cesarstwa pierwszego wieku. Toteż Rzymianie potomni, przede wszystkim sam Tacyt, piszący w sto lat później dzieje owej nieszczęsnej dynastii, widzi w Liwii już tylko matkę Klaudiuszów, która drogą intrygi a nawet zbrodni potrafiła usunąć wnuków męża, aby zapewnić tron własnym potomkom. Nowsze badania w niczym jednak nie potwierdziły tej legendy o złej macosze, przeciwnie, wszystko, co o Liwii wiemy na pewno, zdaje się temu przeczyć wyraźnie.

Miłość, która tak głęboko wstrząsnęła Oktavianem, tym tak chłodnym zresztą, zawsze pełnym umiarem mężem stanu, nie była płomienną namiętnością i krótkiej namiętności. Trwała lat przeszło 50 i zgasała dopiero z życiem Augusta. Przez ten długi okres miał przy sobie małżonkę, która pociągała go pięknocią i wspierała radą, a rady tej z zasady nigdy nie udzielała, gdy nie była pytana. Zwracał się za to do niej mąż bardzo często — przed każdą rozmową zwykł notować punkty, które pragnął z nią omówić, dowód, że się do tych narad przygotowywał poważnie. Póki August żył, Liwia nigdy prawie nie występowała na zewnątrz, współcześni też bardzo rzadko o niej wspominają. Ma się wrażenie, że się to działo za jej życzeniem. Wiedział zaś Rzym, że Princeps ma na Palatynie dom taki, jaki przystoi na pierwszego obywatela i że panią tego domu jest dumna kobieta, która z czasem stała się w pojęciu ogółu uosobieniem cnót matrony rzymskiej. Tendencjom polityki Augusta, zawsze i wszędzie dążącego do odrodzenia wielkiej tradycji i dawnej tężyny, odpowiadała też żona, która mu sama przedkładała odzież.

Tej matce rodu nie mogła odpowiadać taka pasierbica, jaką była Julia. Toteż surowość jej obyczajów i pojęcie tworzyły skrajny kontrast między nią a tamtą kobietą.



Livia jako kapłanka (Muzeum Narodowe w Neapolu)

blyskotliwą i namiętną, przekładającą przyjemność nad obowiązek, której gorszącemu prowadzeniu się jedynie wygnanie zdołało położyć kres. W ślad za Julią poszła jej córka tego samego imienia, którą spotkał ten sam los. Pozycja Liwii zaś silnie na tym ucierpiała, gdyż

odtąd zwolennicy obu Julii tworzyli zwartą grupę jej przeciwników. W tych to kołach zdaje się należy szukać zaczątków legendy o złej macosze, późniejszej matce szaleńczych Klaudiuszów. Przypnie też trzeba, że niewątpliwie Liwia chyba wygodną nie była. Musiał nawet sam August odnosić się do tej niezwykłej kobiety z respektem, nie pozbawionym pewnego lęku, bo gdy raz na posiedzeniu senatu powiedział nieopatrznie senatorom, że powinni upominać swoje żony i być ich panami — oni mu wprost odrzekli, że chcieliby wiedzieć, jak to on upomina Liwię i jest jej panem.

Livia nie była jednak pozbawiona pewnej miękkości kobiecej. Sam Tacyt przyznaje, że starała się nieustannie usmierzać surowość Tyberiusza i że jej komnaty były portem dla potrzebujących. Rady udzielane Augustowi miały zawsze tendencję łagodzącą, a chorymi i sierotami umiała się zająć prawdziwie. Tu zdaje się leżała tajemnica przywiązania bez granic, jakim ją obdarzał mąż, bo na to, aby wywołać i wytrzymać przez pół wieku takie uczucie, chyba nie wystarczy być wzorem wszelkich cnót. Tylko do prawdziwie kobiecej kobiety mógł konający pan świata powiedzieć ostatnie, jakie wymówił słowa: „Liwia, żegnaj, żyj pomna naszego małżeństwa”.

Karolina Lanckorońska

„IDZIE ŻOŁNIERZ”

Nakładem polskiej Y.M.C.A. ukazał się śpiewniczek pt. „Idzie żołnierz”. Jest to, jak czytamy na karcie tytułowej, „zbiór piosenek żołnierskich i ludowych, dawnych i współczesnych”, zbrany, opracowany i opatrzony przedmową przez niestrudzonego krzewiciela pieśni polskiej prof. Bronisława Rutkowskiego. Odnajdujemy się małym, wygodnym formatem, skromnym a estetycznym wyglądem i dobrym układem graficznym, zbiorok ów przynosi pokazną liczbę 53 pieśni, których dobór należy uznać za trafny i z wielu względów szczególnie interesujący.

Na wstępie słowo o opracowaniu muzycznym. Jest ono staranne i przejryste. W szeregu pieśni zastąpiono tonacje, w jakich tradycyjnie występowały w śpiewnikach, nowymi z niemalym przez to wzbogaceniem możliwości efektu wykonawczego.

Jeśli chodzi o dobór, przeważają pieśni ludowe, bardziej i mniej znane, wybrane szczęśliwie i zestawione pomysłowo. Łatwo bowiem na nich wykazał wkład wszystkich stron Polski do skarbnicy naszej pieśni ludowej, oraz główne cechy tej pieśni: bezpośredniość, różnorodność, zmienność nastroju, oparcie o charakterystyczne rytmy taneczne, a przede wszystkim prawdziwe i niezaprzeczone ich piękno.

Pieśni z różnych okresów walki o nie-

podległość są wymownym dowodem nie rozstawania się żołnierza polskiego z pieśnią w najcięższych i najsmutniejszych nawet chwilach.

Miłośników pieśni zaciekawi przede wszystkim kilkanaście nowych, powstałych w Kraju w ogniu walki konspiracyjnej, z których zresztą kilka jest już śpiewanych na terenie 2. Korpusu. Świadczą one, że i w tej tak koszarnej walce były przecież jaśniejsze chwile — te, w których tworzone sobie pieśni i śpiewano je. Kilka z nich wyszło niewątpliwie spod pióra naszych wybitnych kompozytorów. Być może, że niektóre techną zbyt akademizmem, nie dorównując bogactwem pomysłów pieśni ludowej, być może, że nie wszystkie teksty uznać można za nadające się do popularyzacji. Znajdziemy i tu jednak pieśni muzycznie piękne i ciekawe, wyróżniające się prostotą i niewymuszonością, co jest podstawową zaletą pieśni żołnierskiej. Życzył im też należy jak największego i jak najszybszego rozpoowszechnienia w imię prawdy, że kultura muzyczna, to w pierwszym rzędzie kultura powszechnie śpiewanej pieśni.

W całości zbiorok zasługuje na zależenie się w ręku nie tylko każdego żołnierza polskiego, ale w ogóle każdego Polaka.

Henryk Swolkieś



Fragment fresków w „Domu Liwii” na Palatynie



Rys. K. Domańska

„KRÓLIKI”

Panią Myszka poznałam któregoś ranka po nocnej zmianie. Było już dawno po apelu i ulice lagrowe były puste. Czasami przesunęła się czarna peleryna dozorczyńni lub przebiegła w nadmiarze gorliwości policjantka lagrowa z niebieską opaską na ramieniu. Pojedyncze „Haeflingi” *) zapadały się jak pod ziemię na ich widok.

Był to okres, kiedy w czasie pracy nie wolno było chodzić po ulicach. Pani Myszka jako „Anweisung” **) była wyjątkiem i ja przy niej także szłam bezpiecznie.

Słońce weszło już dość wysoko i szron lśnił, topniejąc na płatynie kolczastych drutów pod murem. Nasze drewniane trepy miażdżyły cienkie tafelki rozmarzających kałuż. Nigdy nie było tak zimno, jak rankiem po przepracowanej nocy i przestany apelu. Przyspieszałam więc kroku, marząc o łóżku.

— Pani na piętnastkę — nie do siebie? — zapytałam p. Myszkę, widząc, że skręca na „króliczy blok”.

— Muszę zobaczyć, co słychać u dzieci. No i niosę im śniadanie. Oczywiście pani Myszkę śmieją się zadowolone. Pani Myszka jest bowiem „króliczą mamą” i te dziewczęta są jej największą troską w obozie. Przywiązała się do nich jeszcze w tym czasie, kiedy były zdrowe i nikomu nie śniło się o żadnych operacjach. Jako „Anweisung” w t.zw. U-baraku ze ściśniętym sercem patrzyła, jak staniały się z niewyspania. Toteż pani Myszka za cały barak robiła dobre wrażenie, a tymczasem włączyła się po kolei pod stoły, między stasy śmierzących skór, by zdrzemnąć się parę minut.

Pani Myszka chodziła wzdłuż stołów, ostrzegając jeśli zbliżało się jakieś niebezpieczeństwo.

Nadeszły jednak takie noce, że miejsca przy stołach zaczęły pustoszeć.

*) więzień

**) kapo

Kiedy z wieczora zjawiała się wysoka, chuda dozorczyńni z listą w ręku, wiedziałyśmy, że to czyjaś kolej nadeszła. Tylko nie było pewne, czy śmierć — czy „operacja”?

Idąc do pracy, przechodziło się kolumną pod drzewami rewiru. Z „króliczego” bloku wyglądała zwykle jakaś głowa w delegacji od innych, które nie mogły podnieść się z łóżka. Nie wolno nam było z nimi rozmawiać, ale krzyczałyśmy w przejściu:

— Jak się czujecie?

Zawsze było wszystko „lepiej” i „w porządku”. Nie wiedziałyśmy dokładnie, na czym polegają te operacje. U rekonwalescentek, które wróciły do bloku, oglądałyśmy głębokie śluzki z zygami blizn biegnące wzdłuż kości goleniowych. Niektóre rany otwierały się stale. Czasem następował zanik mięśnia. Niektóre z dziewcząt zabierano wielokrotnie i poszerzano cięcie.

Któregoś niedzieli siedziałam ze Staszka, ulubienicą pani Myszkę, na kamykach, otaczających chudziutkie skwerki przed blokami. Słońce już zachodziło i był to moment, kiedy obóz wyglądał najbardziej kolorowo. Ukośne promienie, świecąc sponad wysokich piaszczystych wydm wspinających się z tamtej strony muru, nadawały szarym sukienkom „haeflingów” lilowego koloru. Lilowiawa także czarna żużel, którym była wysypana „lagrowa”. Tylko czerwone niteczki szafwii, okalające skwerki — nabiegały jeszcze bardziej krwią. Szafwii stała się wtedy symbolem Revensbrueck. Mówiłyśmy ze Staszka o samych miłych rzeczach przedwojennych. Staszka miała wtedy 17 lat i już była operowana. W pewnej chwili Staszka dodała mimochodem:

— Wiesz, ja już nigdy nie będę mogła nosić cienkich pończoch.

„Królki” były chore nie tylko fizycznie. Każda z nich miała jakiś uraz. Rozmawiałam z nimi w lęku, że powiem coś, co którąś zabił.

Wstydziałam się swych zdrowych nóg.

Przyszło lato. Na króliczym bloku bielato coraz więcej prześcieradeł („króliczki” miały ten przywilej, że leżały na prześcieradkach). Nie pracowałam już wtedy, dzięki Bogu w „betriebe”. Pani Myszka także nie. Jako „Anweisung” prowadziła leśną kolumnę, gdzie po wielu węglowych i taczkowych perypetiach i ja się dostałam. Pani Myszka miała cudowny dar zjednywania sobie dozorczyńni. Z początku siedział zachmurzony stwór w pelerynie nad nami i liczył nas bez przerwy w ciągłej obawie, że któraś ucieknie. Ale już po paru dniach stwór, napędzony zaufaniem do Pani Myszkę i jej „anweisungowskich” zalet, siadywał sobie na specjalnie dla niej wybranym, możliwie odległym pienszku i drzeźniat. Miesz także. Miałyśmy święty spokój.

A w koło był las..., prawdziwy zielony las na podszyciu z lilowych wrzosów.

„Królkom” nie wolno było wychodzić za bramę. Ale pani Myszka czasem przemyciała jednego, lub drugiego bladeusza, który mógł, jako tako chodzić. To była dla nich wielka atrakcja. Oczywiście nie było mowy byśmy im dały pracować. Dekowało się je w najzłotejszym, najbardziej oddalonym od dozorczyńni miejscu. Ale one rwały się do piły.

— Przecież nie jest z nami jeszcze tak źle.

Siedziałyśmy kiedyś z Krysią przy nadciętej sośnie. Odbiłyśmy się jakoś od kolumny i szum drzew głuszył dalekie nastukiwanie siekier. Nie wiem o czym przestałyśmy mówić, ale nagle zrobiło się cicho i tylko daleko kukała kukułka. Jak u nas. Krysią była tu pierwszy raz w lesie. Cieszyła się już od dawna na ten dzień i zapewniała panią Myszka, że da radę napewno. Ale teraz straciła jakoś humor.

— Czy boli cię noga? — spytałam po długim wahaniu.

— Nie, ale nie przyjdę tu więcej — odpowiedziała szorstko. — Najgorzej zacząć się rozczulać — dodała po chwili.

Tymczasem rósł w nas bunt. Tego wszystkiego było już trochę więcej, niż można znieść.

Początkowo myślałyśmy, że operacje zastępują inny wyrok. Większość wybrałaby raczej śmierć, gdyby można było wybierać. Ale przy ostatnich transportach na rozstrzelanie zabrano także kilka „królików” po przebytych wielokrotnie operacjach.

Na króliczym bloku w noc ciągnęły się dyskusje. Dawno już przebrzmiała ostatnia syrena na ciszę obozową. Kiedy nocna warta zaświeciła latarkami do okien, wydawało się, że wszyscy śpią głęboko. Ale skoro tylko giem bloku, podnosiły się głowy spod kóców i zaczynał się niekończący temat.

— Tak dalej być nie może.

— Nie damy się więcej krajać.

Pani Myszka była zawsze z nimi. Cały obóz solidaryzował się z „królikami” oprócz wyjątków, które umierały ze strachu przed ewentualną odpowiedzialnością. Naszą szansą było to, że władzom zależało na tym widocznie, by fakt operacji utrzymać w tajemnicy. My oczywiście, przy każdej okazji opowiadaliśmy o tym każdemu.

Nasz leśniczy, typowy niemiecki leśniczy z dawnych czasów w zielonej kurtce, w kapeluszu z piórką, z wąsami — milczał zakłopotany, gdy pokazywałyśmy mu pokaleczone nogi dziewcząt.

Życie w obozie liczyło się właściwie od niedzieli do niedzieli.

Tej niedzieli słońce załało obóz od rana tak bogato, że nawet bloki malowane na brzydko, oliwkowy kolor nabrały weselszego odcienia. Wątle, młode drzewka sadzone wzdłuż lagrowej wyprostowały się śmiało. Nabiegły cyrwenią wąskie pasemka szafwii pod rewirem. Siedziałyśmy na stercie kamieni, na bocznej ulicy. Od kilku dni był spokój — nie brano nikogo. Może jakaś interwencja zagranicy? Przecież muszą wiedzieć...

Mało nam było potrzeba, by zbudziła się nadzieja. Parę dni ciszy. I jeszcze takie słońce...

Więc mówiliśmy o rzeczach nietutejszych. Pani Myszka o swoim Zakopanem. Stasia o Lublinie.

Nagle koło piętnastki uczynił się wir. I wszystkie w jednej chwili wiedziałyśmy, co się stało. Znowu wezwali dziesięć. Co, znowu Dziuba? I Joanna.

Dziesiątkę wezwano niby do kancelarii. Za każdym razem mieli inne wykryty. Poszły, ale skoro ujrzały zbliżających się SS-manów, uciekły

(e. d. „Odp. Redakcji” — ze str. 18)

W SPRAWIE SŁOWA „CHŁOP”

K p r. P a s i e r b i k J a n — W odpowiedzi na list Pana z dnia 19 listopada r. b. z zapytaniem, co znaczy słowo „chłop”, użyte w artykule „Miarą prostego człowieka” („Ochotniczka” Nr. 10) i jaka jest różnica w znaczeniu słów „chłop”, „rolnik” i „gospodarz” — Redakcja wyjaśnia:

Wprawdzie wszystkie te trzy słowa oznaczają człowieka pracującego na roli — jednak każde z nich ma nieco inny sens.

I tak słowo „rolnik” jest najszersze, obejmuje bowiem wszystkich ludzi, których zawodem jest praca na roli lub gospodarka rolna — obejmuje więc ziemian i chłopów — także małorolnych i bezrolnych, oraz służbę folwarczną.

Słowo „gospodarz” z tych trzech słów jest najwęższe, bo „gospodarz” — to tylko ten rolnik, który ma gospodarstwo — słowo to nie obejmuje więc bezrolnych i służby folwarcznej, obejmuje jednak prócz chłopów — gospodarzy także i ziemian — gospodarzy swych majątków ziemskich.



(Fot. Lola R.)
Nabożeństwo w dniu dekoracji siostr (3. Szp. Woj.)
Kazanie wygłosił ks. Wojtas

na blok. W jednej chwili odwołano „Freistunde” *) i ochryple policjantki zapędziły ociągający się tłum do bloków. Lagrowa upustoszała. Wisiałyśmy z panią Myszka u okien sąsiedniego bloku, by widzieć co się będzie dalej działo. Piętnastkę ustawiono jak do apelu.

Dziewczęta stały zupełnie spokojnie. Co im mogli zrobić więcej? Przyszła Binz — główna dozorczyńni, wrzeszcząc już z daleka. Dziewczęta tłumaczyły o co im chodzi. Chcą odczytania wyroków. Są zdrowe i nie pójdą na żadne operacje.

Ale policjantki, które знаły wszystkie „królki” z widzenia, wyciągały

*) Godziny, w których wolno było chodzić po lagrowej.

wezwane z pomiędzy szeregow. Zaprowadzono je do bunkra. Nie na operację, kto słyszał w ogóle o jakich operacjach?... To kara za samowolną ucieczkę z przed kancelarii. Reszcie kazano wejść do bloku. Policjantki biegały dokoła, zamykając szczelnie okiennice. Dziewczęta zamknięte w bunkrze, miały tak zostać bez jedzenia, bez światła, bez powietrza — także za karę.

Po paru dniach dowiedziałyśmy się, że pięć zostało operowanych...

Chodziłyśmy z panią Myszka opodal bunkra. Nie dochodził stamtąd żaden głos. Ślepa, szara ściana chłoniła wszystkie echa. Nawet słońce napróżno biło głową o sklepiony mur.

Zofia Górską

W artykule „Miarą prostego człowieka” nie chodziło ani o wszystkich „rolników” ani tylko o samych „gospodarzy” — lecz o ogół ludności wiejskiej: od włościan do bezrolnych i służby folwarcznej — to jest jednym słowem o „chłopów”.

To właśnie znaczenie posiada słowo „chłop”. Znaczenie to ustaliło się od dawna w języku i piśmiennictwie polskim — jak o tym świadczą: „Chłopi” Reymonta, „Historia Chłopów” Świętochowskiego i przez samych chłopów napisane „Pamiętniki Chłopów”. Wraz z rozwojem oświaty, kultury i świadomości obywatelskiej ludu wiejskiego — słowo „chłop” nabrało powagi równej znaczeniu tej wielkiej grupy społecznej, którą oznacza.

†

EWA MATUSZEWSKA
„MEWA”
Żołnierz A. K.

harcerka, pilot szybowcowy kateg. C, współpracowniczka oddziału dywersji antyniemieckiej „Parasol”
Komendantka patroli sanitarnych Kompanii O₂ — Mokotów córka Ignacego Matuszewskiego i Stanisławy z Kuszczewskich poległa w obronie Warszawy 26 września 1944 r. przeżywszy lat 25

Rodzice i narzeczoncy



J. Konarska: Narciarze (drzeworyt)

NARTY

Nie wszystkim pewnie jest wiadomo, że już w VI w. jeżdżono na nartach i że w r. 1808 po raz pierwszy, w czasie wojny szwedzko-norweskiej użyto nart w wojsku. Dopiero wiele, wiele lat później dotarło narciarstwo do Polski.

I znowu wiele, wiele lat później — ja stanąłem po raz pierwszy na nartach. Wstyd przyznać się, ale impreza skończyła się fatalnie. Rozbity, z podartymi spodniami i jedną nartą połamaną wróciłem do domu. Postanowiłem, że nigdy więcej w życiu na narty nie spojrzę. Lecz widocznie miałem wtedy jeszcze niezbyt wyrobiony charakter, gdyż po trzech dniach przeprosiłem się z deskami. Powodem była pani Ela. Który z szanujących się narciarzy nie zna pani Eli?

Ja wtedy nie znałem jej jeszcze. Ale miałem przyjaciela. Pewnego razu pokazał palcem na ulicy narciarkę i z miną lorda oznajmił mi: — Widzisz, to jest pani Ela. — Widziałem, ale dlaczego to było takie ważne i dlaczego tak się pysznił tą znajomością, nie mogłem zrozumieć. Dla ciekawych muszę dodać, że miałem wtedy około 8 lat. I dlatego prawdopodobnie nie mogłem zrozumieć oburzenia przyjaciela kiedy go zapytałem: — Kto jest pani Ela? — Zdenerwował się tak, e o mało mnie nie zbił. W końcu powiedział mi tylko, że jestem ignorant sportowy i że nie, że narciarz nie zna mistrzyni Polski i że on z nią jeździł na nartach, bo tatuś zna pana Ziętkiewicza i wogóle wstyd.

Mińło potem wiele lat, a Ziętkiewiczowa wciąż jeszcze reprezentowała najwyższą klasę narciarstwa kobiecego w Polsce. I nie tylko w Kraju, ale i zagranicą rozslawiła imię polskich narciarek. Aż nagle młoda góralka pozazdrościła sławy p. Eli.

Pamiętam ten dzień, kiedy krępa i silna Bronka wygrała pierwszy bieg. W kolorowej spódnicy góralskiej, z dwoma pysznymi warkoczami Polankówna zdetrinizowała dotychczasową królowę nart.

Narciarstwo kobiece zataczało coraz szersze kręgi, wyszło, że tak powiem, z powijkaków. Już nie tylko Zakopane jeździło na nartach. Lwów, Śląsk, Warszawa a przede wszystkim w późniejszych latach Wilno wydają coraz więcej doskonałych narciarzy. Turystyka zimowa, mająca swoich zwolenników poprzednio tylko we Lwowie i Krakowie, ogarnia całą Polskę. I słusznie. W żadnym innym sporcie nerwowy człowiek miasta nie znajduje takiego odprężenia, jak na nartach. Przejścia narciarskie wśród słońca i śniegu dają mu nową siłę i odporność do dalszej pracy. Powstają związki i towarzystwa, których zadaniem jest umożliwienie wszelkimi sposobami ludności miast wydobycia się na śnieg.

Narciarstwo nabiera kolosalnego rozmachu. I technika jazdy na nartach przeszła w tym czasie swoją rewolucję. Zniknął bezpowrotnie olbrzymi kij, którym się podparł narciarz w czasie

zjazdu. Zastąpiono ten kij dwoma lekkimi kijkami. W miejsce narciarza, wyczuwającego dziwne skoki dookoła swojej żerdzi trzymanej oburącz, zjawia się wykwintny „telemark”. Zastępuje go jednak szybko pełna siły „krystiania” oporowa. Coraz więcej uwagi zwraca się na piękno i estetykę. Szybkość, emocja, piękno, zadowolenie estetyczne, oto podstawowe postulaty nowoczesnego narciarstwa. Wymarzony sport dla kobiet!

Już dawno Bronka Polankówna osiadła w swoim maleńkim schronisku. Już i jej następczyni Zosia Stopkówna zarządzała schroniskiem w Pięciu Stawach. Wierna tradycji swoich braci Helena Marusarzówna zachwycała teraz widzów elegancją i brawurą swojej jazdy. „Miss Helen”, jak ją wszyscy nazywali. A potem maleńka harcerka Bornetówna i wiele, wiele innych.

Ale sport narciarski nie idzie tylko w górę, co niestety daje się zauważyć wtedy w innych gałęziach sportu, ale i wszędzie. Tysiące narciarek ożywia nasze przepiękne góry. Odkrywają niespotykane i nieoczekiwane cuda w zetknięciu z przyrodą zimową.

Przychodzi 39 rok i z nim największe święto dla narciarzy — zawody FIS. Nasze narciarki coprawda nie zajmują pierwszych miejsc, ale godnie reprezentują to, co zasadniczo w sporcie kobiecym jest najważniejsze. Nie siłę, jak Niemki, ale piękno i harmonię ruchów.

A później wybuchła wojna. Już nam nie wolno było przebiegać na nartach ukochanych gór. Tęsknota jednak była silniejsza niż zakazy niemieckie. Musiałem jeszcze raz popatrzeć na Tatry w śniegu. Przyjechałem pod wieczór. Słońce kryło się za szczytami. Góry zmieniły swój kolor z czerwieni na coraz ciemniejszy fiolet. Aż wszystko zgasło. I nastała noc.

Franciszek Figwer

DO POWRACAJĄCYCH PRZYJACIÓŁ

Oto jest miecz u groźnych czoł
i wojny obraz krwawy.

Przysłizcie pieśzo
z martwych pól

ojczystych i warszawskich.

Nie pojęd grupom naszej krwi
łomotu waszych tętni.

Często nas o to pali wstyd
bolesny i natrętny.

Nie mów panienko rzewnoblękitna,
że niczym był Oświęcim.

O nic cię więcej nie zapytam,
bym mógł zrozumieć więcej.

Przysłizcie z głębi ciemnych borów
samotni i pobici,

by w cieniu przeszłych lat wieczornych
policzyć przyszłe życie.

Cóż, że pożary spopieliły
imiona i nazwiska:

zwycięstwo przecież wam przypadnie
ostatnim,

i za wszystko.

erzy Bazjanek i

GOŚCINNA SZWECJA

Przybyłam do Szwecji 1 maja 1945 r., opuściłam ją 24 września 1945 r. Pięć miesięcy spędzonych w pięknym, spokojnym kraju, wśród szlachetnych ludzi, pozwoliły mi zebrać garść spostrzeżeń, którymi pragnę się podzielić z ogółem.

Dzięki akcji hr. Bernadotte (siostrzeńca króla szwedzkiego), wyewakuowano do Szwecji z niemieckich obozów koncentracyjnych wiele tysięcy więźniów. Pięć tysięcy Polek przybyło z obozu w Ravensbrueck, chore pozostały po drodze w Danii w mieście Padeborg.

Ponieważ Ravensbrueck był największym kobiecym obozem koncentracyjnym na terenie Niemiec, dla orientacji podaję, że reszta kobiet, zwolniona w dziesięć dni potem przez wojska sowieckie dostała się do Polski, o czym zawiadomiły przez radio.

Gdy po opuszczeniu okrętu w Malmö dostaliśmy się pod opiekę Szwedzkiego Czerwonego Krzyża, od razu odczułyśmy na sobie skutki troskliwości. Wykapanie, wydesylnikowane i ubrane w porządną bieliznę, zostałyśmy rozmieszczone w słonecznych gmachach publicznych w różnych częściach miasta, grupami po kilkaset kobiet. Wśród niesłabnącego entuzjazmu ludności przejeżdżaliśmy w autokarach Szwedzkiego Czerwonego Krzyża do sklepów, gdzie nas ubrano od stóp do głów, i do szpitali na badania. Bez przerwy publiczność z kwiatami i słodyczkami tłoczyła się dookoła nas. Dostałyśmy też pierwsze pieniądze z Polskiej Opieki Społecznej oraz od rządu szwedzkiego. Karmiono nas bardzo posilnie, zwiększając stopniowo porcje, przy czym kilka razy dziennie dawano nam surowe, tłuste mleko, z którego Szwecja słynie. Odwiedzali nas Polacy, zamieszkali w Szwecji od początku wojny i wielu Szwedów i Szwedek.

Po dwóch tygodniach kwarantanny rozdzielano nas na mniejsze grupy, aby porozmieszczać następnie w różnych miejscowościach. Nasza grupa licząca 150 kobiet została wysłana do Tranas, pięknej miejscowości kuracyjnej, położonej na połowie drogi między Malmö a Sztokholmem, wśród jezior, gór i lasów. Miasteczko to jest również ośrodkiem fabryk konfekcyjno-futranych. Cała ludność Tranas czekała nas ze zwykłymi podarkami i wśród powitalnych okrzyków, z burmistrzem i komisarzem policji na czele odprowadziła nas do nowego locum, którym była szkoła powszechna, zbudowana z wielkim komfortem.

Muszę dodać, że pod koniec naszego pobytu, gdy zaczął się rok szkolny, dzieci uczyły się w ciasnych, przygodnych lokalach, my pozostawaliśmy w szkole jeszcze jakiś czas.

Brak mi słów, aby opisać dobroć mieszkańców Tranas. Począwszy od burmistrza, wszelkich władz, sióstr-ochotniczek, rekrutujących się ze wszystkich sfer, skończywszy na najmniejszym dziecku, piętnie proszącym o autograf, lub polską flagę — wszyscy prześcigali się, aby nam, Polakom dać odczuć swą życzliwość i współczucie. Na maszt szkolny wciągnięto polską flagę, w której to uroczystości wzięło udział całe Tranas; postarano się, aby przyjechał do nas ksiądz

katolicki, a dopóki to nie nastąpiło odwiedzali nas pastory; urządzano nam wycieczki statkiem do ciekawszych miejscowości. Oczywiście nigdzie nie obyło się bez wzruszających przemówień do „polskich gości” i kawy z ciastkami.

Pewnego dnia zaproszono do nas grupę artystów Estnazyków. Słuchałyśmy śpiewu w wykonaniu pierwszorzędnych sił opery w Tallinie i podziwiałymy narodowe tańce estońskie.

Staraliśmy się im też wywdzięczyć różnymi upominkami własnej roboty. Polacy mają wielkie zdolności artystyczne, Szwedzi lubią ładne rzeczy, toteż nasze podarki robiły im wielką przyjemność. Nasz chór i skromniutki zespół taneczny, produkujący tańce ludowe, cieszył się wielkim entuzjazmem mieszkańców miasteczka i kuracjuszy. Jedną z polskich reżyserek teatru ludowego stworzyła mieszaną grupę taneczną, która cieszyła się wielkim powodzeniem, produkując w Sztokholmie i na prowincji nasze tańce narodowe.

Gdy skończył się okres kwarantanny, te, które nie czuły się dosyć silne, pojechały do domów wypoczynkowych, lub ogólnych obozów, liczących po kilkaset kobiet. Jednakże takie życie w gromadzie przypominało nam zbytnio obóz w Ravensbrueck, dlatego wszystkie, które mogły, przyjęły ofiarowaną im pracę. Niektóre Polki zostały zaproszone na nieograniczony czas do domów szwedzkich, gdzie traktowano je po rodzinnemu, dbając o zaspokojenie wszelkich potrzeb; reszta poszła do fabryk, szpitali, lub na pomocnicze domowe, gdyż brak znajomości języka szwedzkiego uniemożliwiał pracę

biurową. Niektóre pracowały w wolnych zawodach, zajmując się krawiecczyną, wyrobem artystycznych drobiazgów toaletowych itp. Placą w fabryce dla niewykwalifikowanej robotnicy (praca na akord) wynosiła 130 koron miesięcznie (równa się szczęściu i pół parom bucików damskich). Były i takie, które zarabiały 250 koron miesięcznie. Utrzymanie bardzo dobre kosztuje 60 koron miesięcznie. Mieszkanie ze wszelkimi wygodami, łazienką, pościelą, kosztuje plus minus 30 koron miesięcznie, o ile samej zajmuje się jeden pokój. Tak więc koszt utrzymania wynoszą około 90 koron miesięcznie. W najgorszym wypadku pozostaje 40 koron. Ale prawie każda zarabiała więcej, albo dorabiała robotkami, mieszkając lub jadając za darmo, lub dostawała od swych chlebodawców ubranie. Fabryki zaopatrywały swoje pracownice po najniższych cenach i na raty w sukienki i ciepłe płaszcze. Robotnica fabryczna nie tylko więc miała dobrobyt, ale mogła jeszcze posyłać coś do domu, lub kupować różne przedmioty dla swojej rodziny.

Nie było prawie Polki w Tranas, która by nie miała jakichś szwedzkich przyjaciółek, troszczących się o nią.

W innych obozach było tak samo, czasem gorzej, w zależności od nas samych, gdyż Szwedzi muszą się najprzód przekonać, z kim mają do czynienia i dopiero, gdy stwierdzą, że przybyłyże są służący na zaufanie, ofiarowują na zawsze swą przyjaźń.

Polacy w Szwecji nie są zorganizowani. Praca, jedzenie i spanie nie mogą zadowolnić ludzi, którzy zostali cudem wydarci



(Fot. Lolo R.)

Wierny przyjaciel Czo-oi, który towarzyszył swojej pani po przez obozy koncentracyjne

śmierci i których pierwszym pytaniem było: „kiedy wrócimy stąd do Kraju?”.

Szwedzi bynajmniej nie starają się nas pozbyć. Raczej dziwią się tym, którzy wolą niepewną egzystencję, niż dobrobyt i bezpieczeństwo osobiste w Szwecji.

Podobno w pierwszych latach wojny nie rozumieli nas i odnosili się do nas niechętnie, jako do tych, którzy „wywołali wojnę”. Z bieżem czasu, gdy poznali prawdę i gdy zachowanie się Polaków, (głównie pokazanej grupy marynarzy, przebywających tu od 1939 roku) wzbudziło ich

uznanie i szacunek, stali się naszymi najlepszymi przyjaciółmi.

Muszę dodać, że przez Polaków uzyskali w Szwecji przytułek jeszcze Finnowie (głównie dzieci), Estończycy i Norwegowie.

Jeśli chodzi o żywność, Szwecja jest krajem importowym, brak tam męsa, tłuszczu, owoców i jarzyn, toteż z powodu gości zagranicznych musieli obniżyć swoje racje żywnościowe, co zrobili z całym zrozumieniem dla ogólnej sytuacji.

„STWORZENIE DOMU” — POSZŁO NA WOJNĘ

Wojna współczesna przekształca nie tylko życie mężczyzn, ale i kobiet zarówno tych na Zachodzie, które już oddawna biorą udział w życiu publicznym, jak i tych na Wschodzie, których zasadniczym zajęciem jest właściwie troska o rodzinę.

Jednak jeszcze dzisiaj w niektórych krajach Azji Środkowo-Wschodniej, więc właśnie w Chinach, są kobiety, które, gdy na nie spojrzal mężczyzna choć jeden raz, gotowe są powziąć decyzję samobójstwa, lub dążyć do fanatycznego postanowienia, że muszą za wszelką cenę wyjść za mąż za tego, który dotknął je spojrzeniem. W niektórych rodzinach chińskich nawet szwagrowie nie siedzą przy stole ze szwagierkami. Życie tych ludzi biegnie niezmiennie według starych tradycji obyczajowych.

W tym układzie stosunków staje się zrozumiałe, że wschodniej kobiecie trudno jest brać udział w życiu publicznym. Ale wojna współczesna zmusiła nawet bojazliwie dziewczyny Wschodu do opuszczania

domu i walczenia na froncie. Małe kobiety wielkich Chin, mimo dotychczasowych zamiłowań i zwyczajów, musiały na skutek wojny nie tylko cierpieć, ale i wejść w jej tryby. Nastąpiło to w „państwie nieba” w stopniu mniejszym aniżeli gdzie indziej, gdyż trudno w przeciągu jednego dnia lub nocy zmienić całkowicie sposób życia i bycia. W takim kraju jak Chiny trudniej jest zniszczyć stary system, niż wprowadzić nowy.

Kobiety, które biorą udział w obecnej wojnie w Chinach, są w większości kobietami nowoczesnymi, ściślejszemu mowiąc, cywilizacja zachodnia wywarła na nie wpływ w dobrym tego słowa znaczeniu. Chcę przez to powiedzieć, że są to kobiety wychowane na sposób europejski, jeżeli chodzi o ich pracę, lecz nie zmanierowane życiem w wygodach i luksusie.

Kobiety chińskie, które poświęciły się wojnie, są mniej lub więcej podobne do swoich sióstr z Zachodu. Pracują w pomocniczych służbach wojskowych jako siostry w szpitalach, lub prowadzą pracę cwiatowa. Bywa też, że biorą udział bezpośrednio w walkach na froncie, co świadczy o gwałtownej przemianie, jaka nastąpiła w psychice kobiet chińskich w związku z długotrwałą wojną. Rozumie się, że kobiet tych jest niewiele w zestawieniu z ilością kobiet zatrudnionych poza linią frontu. W większości wypadków powoduje kobiety walczące na froncie, nie sentyment i umiłowanie kraju, przy równoczesnej świadomości, że wojna była, jest i będzie prawie wyłącznie domeną mężczyzn, czy to na Zachodzie, czy na Wschodzie.

Chińska kobieta-żołnierz wygląda zewnętrznie jak mężczyzna, gdyż nosi umundurowanie męskie i tym się także różni od kobiet Zachodu, które noszą mundury kobiece. Wy tłumaczenie tego można znaleźć w warunkach ekonomicznych, ponieważ w Chinach produkcja specjalnej wojskowej odzieży kobiecej nie istnieje. Kobiety chińskie noszą jednak długie włosy rozsypane na koltnerzu i po tym tylko, na pierwszy rzut oka, można je odróżnić od żołnierza-mężczyzny.

Oddziały kobiece tworzą osobne jednostki, odseparowane od oddziałów męskich.

Opuszczając ten piękny, spokojny kraj, noszę najwyższą wdzięczność dla ludzi, którzy nam, bezdomnym, otworzyli szeroko drzwi swych pięknych domów, a współczuciem starali się uleczyć nasze serca. Poważne postacie mężczyzn, pełne wdzięku kobiety, roześmiane dzieci, tak bardzo podobne do naszych, kolejno przesuwają się przed moimi oczami.

Szwecja okazała się dla nas kochającą siostrą, toteż na zawsze zróbmy jej miejsce w sercach i pamięci.

Danuta Stypułkowska

To, co powiedziałem, dotyczy kobiet w wojsku. W Chinach, tak zresztą jak na Zachodzie, wiele kobiet pracuje dla wojny poza linią frontu, wykonując samodzielne i ważne zadania. Można tu rozróżnić dwie kategorie:

Pierwszą stanowią te, które organizują wszelkiego rodzaju stowarzyszenia, prowadzą pracę charytatywną itp. Wśród nich można spotkać żony znanych osobistości, jak naprzykład wdowa po Sun-Yat-Sen, żona Ciang-Kai-Szeka i wiele innych. Te dwie panie, których sława dotarła do krajów Zachodu, u większości kobiet chińskich nie znajdują jednak zrozumienia, mimo głębokiego dla nich podziwu. Według pojęć Chinki, kobieta winna oddać się przede wszystkim zajęciom domowym. (W języku chińskim słowo „kobieta” brzmi „n-jeń”, co oznacza „stworzenie domu”).

Drugą kategorię stanowią kobiety, pracujące w swoim zawodzie tak samo jak przed wojną. Kobiety te, przeważnie biuralistki, nie są cenione przez mężczyzn jako pracownice. Nazywają je „hua-pin”, co znaczy „wazon kwiatów”, więc przedmiot piękny, lecz nie niezbędny. Być może, że panie te w istocie tylko... upiększają biura.

Pozostając od tysiąca lat w zależności od mężczyzn, kobiety chiń-

skie nie są zbyt samodzielne, ale jeżeli mają odwagę pracować w biurach czy instytucjach razem z mężczyznami, to w dużej mierze dlatego, że ułatwia im to wyjście za mąż. Zdarzają się często wypadki, jak

zresztą i na Zachodzie, że przetożeni żenią się ze swymi pracowniczkami. Mimo prądów z Zachodu, kobieta chińska zawsze jeszcze uważa małżeństwo za swoje jedyne powołanie, a głównym jej celem jest zostać matką wielu synów.

Wychowana w starodawnej tradycji, Chinka nie chce zmian, a obecny jej udział w wojnie jest tylko chwilową burzą w spokojnym życiu.

Dr C. S. Lin

KOBIETA I POLITYKA

Wstęp w typie sielanki. Przyznaję, że tytuł „Kobieta i polityka” odstraszyć może nawet Inspektorkę, a nie tylko „szarą” ochotniczkę. Co do innych, jestem przekonany, że spojrzawszy na tytułulisko, będą miały (miele) dość. Jest budujące, brzemienne powagą chwili, rzecz można: państwowotwórcze. Wybrałem je przez wrodzoną perfidję. Ścisłej: na złość redaktorce „Ochotniczki”, która wymusiła na mnie napisanie — na podstawie humorystycznej prasy włoskiej — artykułu, w którym „byłoby coś o kobiecie i coś o polityce”.

Wbrew możliwym złudzeniom, artykuł będzie frywolny. Obiecuje nawet nie wspominać słówkiem o Rosji, choć to moja słabość.

Po tym sielankowym wstępie, czas przystąpić do rzeczy. Cztery są punkty do omówienia:

1. tytuł — humorystyczna prasa,
2. osnowa — kobieta,
3. akcja uboczna — polityka,
4. punkt szczytowy dramatu: — kobieta w polityce.

Żeby to „Wróble na Dachu”! Bardzo ciężko jest zdobyć się na dobry humor w siódmym roku wojny... Przepraszam, w pierwszym roku stycznia pokojowych. Na ogół spotyka się tanie, ale poczciwe, stare kawały, podawane w formie pierwotnej lub uczasowione, raz udanie, raz nie, przez wypranych ze skrupułów kawalarzy. Ostatni dobry dowcip słyszałem rok temu na temat projektu odznaki pewnego z oddziałów stojących „gdzieś na Środkowym Wschodzie”. Gałązka bzu i kotwica. Miało to oznaczać: bez nadziei. Od roku też głowie się nad projektem odznaki, któraby symbolizowała stan bardziej pozytywny. Kotwica — to jasne, ale jak usymbolizować? No trudno, nie wymyślę.

Jak już z powyższego widać, brak mi inwencji humorystycznej, albo, jak to po wojskowemu się mówi, inicjatywy; postanowiłem więc pisać na podstawie prasy włoskiej. Muszę stwierdzić z dużym zadowoleniem, że nasze „Wróble na



(rys. 2.)
— Uciekajmy! Mój mąż! Jeśli zobaczy mnie z tobą — tragedia!
— Taki zazdrosny?
— Nie, republikanin.

Dachu” biją na głowę pod każdym względem humorystyczne tygodniki włoskie, stojące z małymi wyjątkami na poziomie „Muchy” lub „Bociana”. Włoskim „Bocianem” i „Muchą” w jednym wcieleniu jest „Marforio”, z którego w tym artykule nie korzystam, bo zeszedł całkiem na psy i poza rogatymi mężczyznami oraz „signoriną” w towarzystwie amerykańskiego żołnierza, nie rzyswie amerykańskiego żołnierza, nie rzyswie innych tematów. „Wróble na Dachu” nie ma, zmuszony więc jestem oprzeć rozważania o kobiecie i polityce na czymś pośrednim, w głównej mierze na tygodniku „Orlando”, który temu zagadnieniu poświęca zawsze całą stronicę. Bardziej obojętnym na kobiece sprawy jest „Soffia, so...” (tyle, co po polsku: gadaj zdrow! lub: gwizdź na to!). Z kilkunastu numerów tego pisma wybrałem zaledwie jedną karykaturę i to z gatunku oglądanych w „Kalendarzu Bractwa Kurkowego” na rok Pański 1920. Nie ma lepszych. Wywieźli — Tedeschi.

„A diabeł powtórzy”... Aleksander Dumas syn powiedział: „Kobieta — głosi Pismo święte — jest ostatnią istotą stworzoną przez Boga; poznaj, iż Stwórca był już zmęczony”. Nie wiem, dlaczego pisarz, żyjący w epoce, w której powiedzenie: „my rzadziły światem, a nami kobiety” znalazło pełne uzasadnienie, miał tak ujemne o kobietach zdanie. Może dlatego, iż nie przewidywał, że z kobiet wyrosną „kierowniczkami wozów”, jak się o naszych kierowniczkach wyraził swego czasu pewien

popularny w Korpusie generał. Wypadałoby mi tutaj poświęcić kilka ciepłych słów „kierowniczkom”, ale powstrzymuje mnie od tego sentencja anonimowego męjca: „Powiedz kobiecie raz jeden, iż jest piękna, a diabeł powtórzy jej to dziesięć razy”. Powiedz „kierownicze wozu”, iż jest dzielna, a niżej kapitana nie sięgnie. Gwoli więc solidarności z „młodzieżą oficerską” odwołuję wszelkie sugestie uznania.

Te zgryźliwe opinie o kobiecie „jako takiej” znalazłem w „Orlando”. Byłbym nieuczciwy, gdybym nie przytoczył wyjątkowo trafnych na nie odpowiedzi.

„Adam — mówi Pismo święte — jest pierwszą istotą ludzką stworzoną przez Boga; widać, iż Stwórca nie nabrał jeszcze wprawy”.

„Powiedz mężczyźnie raz jeden, iż mu się nie możesz oprzeć, a on to opowie wszystkim, nawet d'ablu”.

Kapituluję, bo to jest święta prawda. Tylko do pewnych granic. Kobieta nie wchodzi nigdy w konflikt z sobą, ani z polityką, jeśli tę ostatnią traktuje jako akcję uboczną, czynnik raczej pomocniczy. „Orlando” wyobraża sobie funkcję polityki w pewnych zamierzeniach w sposób, rzecz można niepolityczny. (rys. 1.)

Następna karykatūra natomiast jest zupełnie polityczna. Można mieć co najwyżej zastrzeżenia, czy jest moralnie iść pod rękę z monarchistą, będąc żoną republikanina. Wymaga to małego objaśnienia. Włosi poza szeregiem partii politycznych, dzielą się na dwa stronnictwa: republikanów i monarchistów. Jest powszechnie znane, że carabinieri królewscy są zwolennikami monarchii. Czy można się dziwić? Taki piękny mundur i bądź co bądź niezła pensja. (rys. 2.)

Problem kobiecej w polityce. Jest rzeczą dowiedzioną i podkreślaną to już wspomniany „Kalendarz Bractwa Kurkowego” na rok 1920, że poważne traktowanie przez kobiety zagadnień politycznych odbija się fatalnie na mężczyznach. (rys. 3.)



(rys. 3.)
— Wiesz, żona moja otrzymała stanowisko przy rządzie, a ja przyrzadzam posiłki.



Artystka dr Mei Lan-Pang — w narodziowym stroju



Joan Waung — pilotka chińska, która ukończyła paryską Szkołę Lotniczą jako prymuska



(rys. 1.)
Ona: Rozumlem, że chcę mnie zwabić do swego domu, zaprosił mnie pan, abym się mogła zapoznać z pańskim wspaniałym zbiorem mów Togliattiego; ale teraz, kiedy zbiorę mów Togliattiego; ale teraz, kiedy przyszedłem i pan rzeczywiście każe mi pozbierać zbiór mów, to mi się już wydaje za wiele!

„Coraz trudniej jest znaleźć kobietę, która zechciałaby pomóc mężowi zmyć naczyńia” — ubolewał W. Feather. Wprawdzie nie wiem, kim był ów gentleman, lecz nie mam z tego powodu żalu, gdyż jestem przekonany, iż wielu jego rodaków nie wie, kim był Mickiewicz, który tak pięknie powiedział: „Kobieto, puchu marny...” Oczywiście „Orlando” znalazł odpowiedź na powiedzenie Feathera: „Jeszcze trudniej jest znaleźć mężczyznę, któryby — pomógłszy swej żonie zmyć naczyńia — dopomógł jej również zamieść kuchnię”. I to jest słuszne o tyle, o ile żona nie wyrzuca męża z kuchni, aby jej nie przeskądzał w zamiataniu. Lecz to są domowe sprawy, nie mające nic wspólnego z polityką. A my właśnie o niej mamy mówić. Kobiety włoskie uzyskały bierne i czynne prawo wyborcze. Jest to zjawisko



(rys. 4.)

— Dlaczego wszyscy posłowie uciekają?
— Ponieważ ta postać zapowiedziała, iż przedstawi w całej nagości problem kobiecy.

we Włoszech nowe: — kobieta w parlamencie. Wynikają na tym tle nieporozumienia, zwłaszcza: (rys. 4.)

GORĄCE SERCA

(Korespondencja z Afryki)

Mam przed sobą roczniki piemka młodzieżowego z Tengeru, pod nazwą „Głos Harcerzy”. Odbijane na cienkiej bibułce, przez kalkę na maszynie, zaledwie w kilkadziesiąt egzemplarzach, z ręcznie robionymi rysunkami, wyglądają one skromnie, ubożuchno nawet. Ale zastanowiła mnie jedna rzecz. Otóż wydawane jest ono bez przerwy już trzeci rok. Ukazało się 28 numerów, a ostatni nawet na powielaczu w zwiększonym nakładzie. Razem ponad 500 kartek. Zapewne, cyfry te są niskie, ale jeśli podsumować ilość pracy, włożonej w to piemko, ilość zapatu i dobrej woli, wszystko to przemnożyć przez trudności, na jakie napotyka „redakcja”, zważyć, że jest ono samowystarczalne — to trzeba przed tym wyczynem z uszanowaniem uchylać czoła. Tak, to jest rzetelna praca, świadcząca o zdrowych instynktach młodzieży, która pesymizmowi, marazmowi, sobkostwu, narzekaniu i plotkarstwu — przeciw-

stawia twórczy wysiłek. I nieważne wówczas staje się to, że są tam liczne usterekki, że poziom piemka jest daleki od poziomu angielskich magazynów, że nie jest drukowane na linotypach; ale ważne jest to, że jest ono świadectwem twórczego wysiłku młodych, którzy też chcą być obecni przy budowie gmachu Ojczyzny — i gmach ten budują już teraz! Oddajmy jednak głos młodym, niech sami sobie wystawią legitymację stosunku do zagadnień życia.

„Jak liść jesienny, daleko nas zapędził wicher dziejowej zawieruchy. Mroziły nas śniegi Sybiru, rozgrzewało słońce Południa, owiewał wiatr stepowy. — Jedno tylko, zawsze i wszędzie, było niezmiennie i wytrwale młode serce. Nie ostudził go mroz największy, nie spopielił żar najgorętszy. Jak liść jesienny, nie wiedząc gdzie spadnie, gnani dalej, wciąż dalej, wylądowaliśmy wreszcie w Afryce. Ze wszystkich transportów małe grupki harcerek i harcerzy zbierały się i skupiały w jedną całość, tworzyły zastępy, drużyny... A skoro skwar ustawał, gdy na niebie zapalały się już wieczorne zorze, ćwiczyły się te drużyny i zastępy, i znad soczystej zieleni drzew, znad palm pierzastych; znad okragłych domków białych, wzbijała się w niebo i rosła pieśń harcerska”.

I dalej tenże sam „Włóczęga” pisze:

„Po latach niewoli i ucisku, kiedy kładliśmy się do snu i budziiliśmy się z jedną tylko myślą — z myślą o kawałku chleba — po latach, kiedy to umysł nasz tępił z dniem każdym coraz bardziej, stanęliśmy tu młodzi i mali harcerze, w jednym szeregu, zjednoczeni jedną myślą — myślą o przyszłości i wielkiej Polsce. Mając poza sobą straszne widmo nędzy, głodu i bezdomności, przystąpiliśmy do pracy, aby po powrocie do Ojczyzny zająć miejsce tych, którzy w obronie i w ności oddali swe życie. Dziećmi byliśmy jeszcze, nie zdającymi sobie sprawy z tego co się dzieje i pomimo tego, że od roku 1939 harcerki i harcerze dawali przykład odwagi, męstwa i poświęcenia, niejednokrotnie kładąc swe młode życie w ofierze — dopiero teraz, po trzech latach zmagań wojennych, rozproszeni niemal po całej Afryce, łączymy się w jedną całość, by pełni energii i zapatu pracować wspólnie, wspólnie nadrobić stracony czas. Zaczynamy od zbiorów, uczymy się punktualności, karności, zaczynamy od rzeczy małych, wiedząc, że „z czynów małych powstają czyny wielkie”. A gdy wywiążemy się należycie z obowiązków powziętych tu, na swoim polu pracy, będziemy pewni, że kiedyś, gdy dorośniemy, potrafimy i zrobimy niejeden. A Polsce trzeba będzie dużo chętnych rąk do pracy. Na młodzież, a w szczególności na harcerzy, jako na przyszłość narodu, państwa będą. A wtedy nie wolno nam zawieść zaufania! Zakończmy rękawy i pchnijmy pracę naprzód, wytrwale, radośnie, z pogodnym

Zdarza się to oczywiście wtedy, gdy do postanki odnoszą się słowa Owidiusza: „Czysta jest ta, o której względu nikt nie zabiegał” I to jest prawdopodobnie punkt szczytowy dramatu.

Mój debiut na łamach „Ochotniczkii” zakończyłem oświadczeniem, iż aptuję z góry wszelkie dodatnie i ujemne zdania, jakie Panie o poruszoną zagadnienie uznają za stosowne wypowiedzieć, a moje pozytywne stanowisko do ewentualnych głosów sprzeciwu lub uznania — uzasadniam mądrością ukrytą w starym przysłowiu chińskim, według którego „rozsądny człowiek nie robi trzech rzeczy: nie orze nieba, nie maluje obrazów na wodzie i nie przeczy słowom kobiety”.

Sylwester Mora

uśmiechem na ustach — bo tak nam dyktuje nasze prawo harcerskie! Przezwaliśmy już tyle zła, nędzy, upokorzenia, tyle burz przez z. s. s. n. w ciągu swoich młodych lat, że bieżące jeszcze burzy, wierząc w jasne jutro. Nie możemy żadną miarą zapomnieć, iż jesteśmy tymi cegiełkami, z których przyszła Polska zostanie zbudowana. Niech słońce Afryki nie rozleniwi naszych umysłów, nie dajmy się kuć tajemnym zakątkom dżungli, wabiącej nas wspaniałością zieleni, albo bystrym potokiem wijącym się po kamieniach wśród ljan i krzewów — a słowa naszego hymnu harcerskiego „Wszystko co nasze Polsce oddamy”, będą naszym drogowskazem.

„Vicinus” zaś wywodzi: „Jednak, aby stać się dobrymi obywatelami, musimy już w młodości przygotować się do tej pracy. Właśnie takim przedpolem naszego wyjścia na świat jest szkoła, oraz wszystkie organizacje. Już w tych instytucjach mamy możliwość poznania obowiązków i czynności, jakie będą na nas ciążyły w przyszłości. Pracą tą będzie odbudowa Polski. Padnie może niejedno słowo wątpliwości, jak my to zrobimy, zastępując tylko gruzy z dawnej Polski a nie mając, prócz gołych rąk? Ale mamy przykłady w czynach wielkich Polaków, jak Marzatek Józef Piłsudski i jemu podobni.

Bierzmy przykład z tego męża, którego ani tajgi Sybiru, ani lochy więzień nie odwoływały od myśli i czynu walki o Polskę niepodległą. Chociaż poniewierany, lekceważony i niedoceniany dokonał tego, co sobie postanowił i za co cierpiał. Wszyscy zawątpili, on wierzył, a wiara i silna wola zwyciężyły. I dzisiaj nie traćmy wiary!”

Zupełnie specjalny dział piemka stanowią listy nacznych młodych żołnierzy z wojska. Dział ten niosi nazwę: „Z ziemi włoskiej”. Oto parę, na chybił traf, wyjątków:

„A potrzeba nam dużo żołnierzy! Dlatego też pierwszym obowiązkiem harcerza jest służba w szeregach armii. Choć to jest przywilej i pierwszy obowiązek mężczyzny, nie mniejszą jednak rolę spełnia dziś kobieta w wojsku. Najlepiej przekonaliśmy się ostatnio, podczas bitwy o Monte Cassino. Jakże mile witał żołnierz na froncie, pojawienie się kantyniarki na pierwszej linii, z papierosami, ciastkami i herbata, oraz innymi drobiazgami. A ileż bólów łagodziła drobna dłoń siostry — sanitariuszki, chorem w szpitalu. Nasze ochotniczki spisały się doskonale. I nie tylko jako służba pomocnicza. Trudno bowiem nazwać służbą pomocniczą służbę w szpitalu, albo obsługiwaniu radiostacji, albo dowożeniu amunicji i żywności przez kobiety — ochotniczki. Kto wie, czy nazwa PSK, nie jest krzywdzącym tytułem?... Kto wie, czy w nie-dalekiej przyszłości, nie będzie regularnych oddziałów kobiecych? Wszystkie działy dowodzą, że nasze Polki pomatu same sobie zdobywają emancypację i to wcale inną, niż głosili pisarze XIX wieku. Ale



(Fot. inż. Ostrowski)

„Na tropie” (harcerze w osiedlu Tengeru)

to wszystko będzie zależało od tego, aby zdobytych pozycji nie tylko nie utracić, ale zdobywać nowe.

W tym wszystkim, Wy Druhenki, będziecie musiały przetrwać — jak zwykle. Wy jesteście już zorganizowane, Wam łatwiej o inicjatywę i jej realizację. Naturalnie jednak, w pierwszym rządzie nie możecie zapomnieć o Waszych obowiązkach, wypływających z czysto kobiecych przywilejów. Kapłanką bowiem domowego ogniska zawsze była i pozostanie kobieta”.

Albo inny wyjątek z listu, podpisanego inicjałami J. D.:

„Ale przecież nie o Cassino my się bili. Nie! — O Polkę całą! I jeżeli tu we Włoszech wszystkie drogi prowadzą do Rzymu (dosłownie), to dla nas, wszystkie pola bitew prowadzą tylko do Polski. Dziś walcymy w nowy okres dalszej walki z naszym wrogiem, który nie jest jeszcze całkowicie pokonany. Bitwa o Cassino, kto wie, czy nie będzie punktem zwrotnym w

całej tej wojnie. Zostały złamane nie tylko najsilniejsze fortyfikacje niemieckie, ale i ich duch bojowy w znacznym stopniu. W rozkazie dziennym nasz generał Anders pisał: „Bóg dał zwycięstwo”. Jakże symboliczne są te słowa, wypowiedziane kiedyś przez króla Jana pod Wiedniem, w tym samym sensie. Wierzymy, że ten sam Bóg da nam kiedyś i ostateczne zwycięstwo”.

Mógłbym przytaczać długą listę jeszcze innych wyjątków, cytować zdania i myśli. Lecz już te, wyżej przytoczone, zupełnie dokładnie ilustrują nastrój i tendencje młodzieży uchodzącej, zarówno w Tengerze, jak i w innych osiedlach. Konkluzje zostawiam — czytelnikom.

Ja, ze swej strony, składam anonimowej redakcji „Głosu Harcerzy” słowa gratulacji i życzeń, by trudna praca redakcyjna dała im dużo zadowolenia.

Józef Brzeziński

KONKURS NA ODZNAKĘ P. S. K.

Inspektorat P.S.K. 2. Korpusu rozpisuje po raz wtóry konkurs na projekt odznaki P.S.K. Poprzedni projekt, który sąd konkursowy z dnia 5 grudnia 1944 r. przyjął z zastrzeżeniami — nie został zatwierdzony przez Dowódcę 2. Korpusu.

Odznaka powinna odpowiadać następującym warunkom:

- 1) Zawierać godło państwowe (orzeł) dowolnie traktowane (heraldycznie lub jako element dekoracyjny).
 - 2) Zawierać litery P.S.K. oraz rok powstania Pomocniczej Służby Kobiet 1941.
 - 3) Jako materiał, z którego odznaka będzie wykonana, należy użyć metalu szlaccowego lub też odlewany.
 - 4) Wielkość odznaki nie może przekraczać wymiarów 5 cm. x 3 cm.
- Projekt należy wykonać w skali powiększonej dowolnie, jednak na papierze nie przekraczającym wymiarów 25 cm. x 35 cm.

Projekt powinien obrazować plastycznie odznaki (cienie na powierzchni). Technika wykonania — dowolna: ołówek, pióro, farby.

Do projektu powinna być załączona zaklejona koperta, zawierająca nazwisko i adres autora.

Na projekcie i na kopercie należy umieścić godło.

Termin konkursu; Projekty należy nadesłać do Inspektoratu P.S.K. 2. Korpusu, Polish Forces, CMF 530, w terminie do dnia 1 marca 1946 r.

(Obowiązuje data stempla pocztowego z dnia 1 marca 1946 r.)

Nagrody: Za pracę, zakwalifikowaną do wykonania przez sąd konkursowy, wyznaczona zostaje nagroda 2.000 lirów; po tym sądowi konkursowemu przysuguje prawo zakupu innych projektów po 1.000 lirów. Nagrody zostaną przesłane, lub doręczone natychmiast po ogłoszeniu wyniku konkursu.



(Fot. inż. Ostrowski)

Zbiórka harcerska pod wielkim drzewem (Tengeru)



(Fot. Michalski)

W obozie

...ZNALAZŁAM DOM...

(Migawki z Kursu Unitarnego)

Przedrukujemy z Biuletynu Informacyjnego 2 Warszawskiej Dywizji Pancerniej „Taran” (Nr. 22/387, 15. października 1945 r.)

Lęklwie bije mi serce w chwili wjazdu do Obozu Przejściowego Kobiet. Bo to przecież prawdziwe wojsko, dyscyplina! Ale zaraz na wstępie wszelkie obawy i niepewności rozwiewa serdeczny uśmiech Szefa Kompanii. Nie jest chyba źle w tym wojsku, skoro „szarża” wita przyszłego rekruta tak miłym uśmiechem.

Nie zawsze dźwięk pobudki dociera do świadomości, pogrążonej w słodkim śnie, ochotniczki. Czasem lóżko nie chce się usiąść w przepisową „kostkę”, jakiś nie-subordynowany guzik urwie się w najbardziej nieodpowiednim momencie, albo buty, czyszczone przez całe dziesięć minut, nie mają należącego połysku.

Na mustrze „w tył zwrot” robi się przez prawe ramię, a szereg robi linę falistą. Ale już po kilku dniach, na rozkaz: „stój!” — pluton staje jak jeden mąż, a gdy idziesz „na przepustkę” do miasta, to na tempo: raz, dwa, raz, dwa.

Wykłady. Nauczali mnie mnóstwo mądrości: azymutów, zwrotów i formułek... W powodzi przepisów regulaminu służby wewnętrznej, niemałą ulgę przynosi pouczenie, że nikt na świecie nie ma prawa „wlepić” ci aresztu ciężkiego, nawet za zgubienie najważniejszego dokumentu żołnierza — książeczki żołdu.

Były także godziny najważniejsze dla mnie: godziny uświadomienia obywatelskiego. Bo nie wystarczy wiedzieć, czego się chce, trzeba także znaleźć właściwą drogę do celu. Po straszliwych rozczarowaniach, jakie przyniósł nam koniec wojny, po „słodyczkach” wolności na terenie Niemiec — przyjechalysmy do 2. Korpusu z pustką w głowach, pustką w sercach i raczej nieufnością. Nie łatwo nam było zdać sobie sprawę z sytuacji politycznej świata i nabrać zaufania do takich czy innych pociągnięć naszych rządów stanu. Dręczyły nas tysiące niejasności, tysiące spraw, na które trzeba było

spojrzeć z innej strony. Prelegent cierpliwie odpowiadał na setki pytań, każdą sprawę naświetlał z najrozmaitszych punktów — pomagał nam znaleźć właściwy punkt widzenia.

Żołnierzowi politykować wprawdzie nie wolno, ale przecież my musiałyśmy wiedzieć, czego chcą i jak chcą ludzie, którzy będą nami kierować, aby im w pełni zaufać. Ufamy całkowicie, więcej — my wiemy, że idziemy drogą jedyną, właściwą.

Były także godziny piękne i doniosłe. W sali wykładowej cisza idealna, dziewczęta zasluchane. To Pani Inspektorka opowiada o powstaniu i rozwoju PSK. Słuchając, przeżywamy gehennę sowiecką, tragedię doliny śmierci, pokonujemy tysiące trudności, aby tylko nie odmówiono nam prawa do walki, ramię w ramię z naszym żołnierzem.

Po tych godzinach zostaje podziw. Po tych godzinach porównuje się ten wysiłek z naszym w Warszawie. W niejednym kąciuku serca kołocze nieśmiały żal, że piękne i wielkie przeszło mimo nas.

Pracy w PSK jest mnóstwo: gospodarka i administracja, szpitale i świetlice, kompanie transportowe, wozy dźwiękowe, biura i redakcje pism.

Chciałoby się mieć setki głów i tysięcy rąk, aby robić wszystko, być wszędzie. I wtedy, kiedy ochota na polykanie przestrzeni „15-ka”, czy „lazikiem” jest równie silna, jak chęć niesienia pomocy chorym — wtedy łapiesz ochotniczo (naturalnie po godzinach służbowych), oficera oświatowego (z gorączką i bardzo brzydkim kaszlem), opowiadasz mu o swoich zamiłowaniach, upodobaniach i chęciach i pytasz: co mam robić?

Po kilkugodzinnej rozmowie — wiesz nareszcie, co będziesz umiała robić najlepiej. Na jaką pracę masz ochotę i widzisz się tylko czemu sama wczoraj na to nie „wpadłaś”?

O, niewyczerpana cierpliwości i... (na to nigdy nie znajduję odpowiedniej nazwy), naszych władz obozowych! Co masz, na przykład, „straszna” chęć uczynić, gdy przy apelu porannym wyjdzie na środek

taki kochany „Kajtuś” i przypomni, że żołd od dwóch dni czeka na ciebie w kwatremistrzostwie? Poprosto uściśkać „Kajtusia” ze wszystkich sił.

Takie (zdawałoby się drobniaki) sprawy, że gdy dostajesz upragnioną (przez cały tydzień) przepustkę do matki, nęta czy narzeczonego — zegnasz swoich miłych przynajmniej o dwie godziny wcześniej, bo przecież musisz być punktualnie w domu. I nie widmo „paki” tak cię gna — nie! Po prostu — wraca się do domu.

I jeszcze godziny piękne: w obozie podniecenie dochodzi do szczytu; przyjeżdża pan Wańkiewicz. A potem ciszę na sali mać huki dział. Czolgi z żelaznym chręstem suną na niemieckie bunkry, bije ciężka artyleria, powietrze gęste od dymu i ognia. Jedyna droga na Rzym przez niezdobyte Monte Cassino spływa krwią. Kiedyś, (a może już bardzo niedługo), idąc w słoneczny, lipcowy dzień zbóż, będziesz może zrywała „pestko”, czerwone kwiaty — jakże się one nazywają: maki? Nie: — Monte Cassino.

Po apelu wieczornym — goście. Rojno, gwarno i wesoło. Często zagłada do nas „grajszafa”, a jeśli przywozi książkę — rzucamy się na nie zachłannie, bardziej niż na Naafi. Chcemy wiedzieć jak najlepiej, nie tylko o Monte Cassino, Bolonii i Anconie; chcemy wiedzieć, jak myślą co piszą ludzie, którzy wyszli z Rosji, by na obcych ziemiach, między obcymi ludźmi tworzyć myśl polską.

Sobota i niedziela upływa zwykle pod znakiem rozrywki. Czyszczenie, prasowanie, loczki, pycha najbardziej „gazowych” pończoszek... Nie łatwo zdecydować się, czy tańczyć dziś aż „do upadłego” w 2 Dywizji Pancerniej, czy u Komandosów. Wir tańca porwał przepelnione auta, tylko gdzieś na ławeczce pod piną, czy starym orzechem, dzweczące postacie i szept: „...widzisz, tu znalazłam wszystko: ideały, w które zwątpiłam już, cel i drogę do celu. I wiesz — znalazłam dom...”

A w niedzielę, po nabożeństwie — spódniczka zaprasowana w kanty (nie-przepisowo), beret na prawym uchu — „autostopem” w świat!

Za kilka dni, gdy zniknie zmora komisji poborowej, rozproszymy się po batalionach i kompaniach Korpusu. Nareszcie praca!

A drogę — naszą drogę, do naszego celu — znamy.

Barbara Kłowska

LISTY DO REDAKCJI

Szanowna Redaktorko!

Przez niedopatrznie autora wkraść się do felietonu p. t. „Cicerone w Galerii Pitti”, błąd. Zamiast „w katedrze św. Jana”, winno być „w katedrze NMB Kwietnej i w Chrzcielnicy św. Jana”.

W nadziei, że czytelniczki mi to wybaczą,

kreśli się z poważaniem

Oa

P. S. Już nie z winy autora w przypisku winno być nie „przykładem”, a „prze-
kładem”.

(c. d. „Listów do Redakcji” na str. 31)

(c. d. „Listów do Redakcji”)

NA MARGINESIE UTRACONEGO CZASU

Droga Wando!

Pierwszy to był twój artykuł, który ukazał się w „Ochotnicze”, a już wywołujesz „burzę”, bo chcę Ci powiedzieć co myślę o tym, o czym piszesz „W pogoni za utraconym czasem”.

Zdanie Twoje jest bez wątplenia słuszne i sędzę, że każdy, kto ten artykuł przeczytał, musiał uderzyć się w piersi, bo masz rację: zaniedbaliśmy się bardzo. Jednak muszę Ci zrobić zarzut, że stawiając diagnozę, nie dajesz lekarstwa, a raczej, dajesz je, ale dostępne tylko dla „wybranych”. Zwiedzanie zabytków, czas spędzony w Akademii Umiejętności, czy na operze, są możliwe tylko „od święta”. A co na „codzień”?

I tu chciałabym uzupełnić Twoje wypowiedzi, przez podanie małego, skromnego programu zajęć, w granicach możliwości każdej z nas, w warunkach zbiorowego życia, w godzinach poza służbowych.

Piszesz o książkach. Słusznie, czytać trzeba i to dużo, ale nie osiągniemy konkretnego wyniku, jeżeli nie powiemy sobie najpierw, co nas interesuje najbardziej, co jest dla nas najważniejsze i dostępne. Dopiero mając sprecyzowane pojęcie, pod jakim kątem chcemy się rozwijać, pójdziemy do biblioteki, nawet tej najskromniejszej, oddziałowej, i z katalogu wypiszemy — wszystkich autorów, jeżeli chcemy poznać twórczość literacką, wszystkie książki historyczne, społeczne czy inne, jeżeli te zagadnienia bardziej nas interesują, i te będziemy czytać, aż do wyczerpania całości.

Umysł nasz, dziś zmęczony już i zaprzęgnięty wieloma zagadnieniami, najbardziej zasadniczej natury, nie jest tak chłonny jak dawniej; musimy więc uzupełniać własne braki także z pomocą innych, którzy nie koniecznie więcej od nas wiedzą, ale inaczej patrzą na zagadnienia i przez wymianę myśli osiągną zamierzony cel... Nie zaklepiamy się we własnej skorupie.

Jak to rozwiązać praktycznie? Zdamy mi się, że łatwo będzie zbierać się grupkami, ot tak, jak mieszkamy, czy żyjemy wspólnie i założyć coś w rodzaju kółka literackiego (bez szefa i komendantki jako „władzy”), na którym można by omawiać czy to przeczytane książki, czy to interesujące nas zagadnienia.

Tyle o książkach. Chcę jeszcze tylko nadmienić, że nie uważam za „grzech”, przeczytanie lekkiego, beztróskiego romansu, niech tylko on nie będzie regułą.

Drugie zagadnienie, natury na pozór odmiennej, zbiega się też z istotą samokształcenia. Jest to dziedzina naszego „ja”. Powiedzmy sobie otwarcie, że warunki, najpierw więzień i obozów, potem zbiorowego, (a jednak indywidualnie samodzielnego) życia wojskowego, wpłynęły na naszą postawę wobec zagadnienia, które określam mianem silnej woli.

Większość z nas wyszła z domów jako młode, niedoświadczone dziewczęta, które nagle spod opieki rodziców i „rygoru” domowego przeszły w warunki sa-

mostanowienia o sobie. Np. palenie papierosów — (to nie moral, tylko przykład). Nie do pomyślenia było, żeby w domu rodziców pozwolono nam palić, i to tak namiętnie, a dziś, palimy właściwie wszystkie.

I na tym przykładzie chcę podkreślić brak w nas silnej woli — „bo ona pali” to ja też, a jak zaczęłam, to już nie mogę przestać”. — Czy naprawdę? Zmniejszenie ilości palonych papierosów, dlatego, że „ja tak chcę”, będzie pierwszym krokiem do wzmocnienia swego „ja”. Zdziwić może, że tak przeskakuję z tematu na temat — pozornie bez związku — ale od naszego wewnętrznego „ja” zależy przecież nasza przyszłość, nas jako społeczeństwa. Społeczeństwo o słabej woli musi zginąć. Gdy przypomnieliśmy przysłowie „od łyżeczki do rzemyczka” — rzecz staje się zrozumiała.

Równie ważny jest dobór ludzi, w gronie których się obracamy. Warunki zewnętrzne zmuszają nas do życia w zbiorowości i ta już nie jest od nas zależna, ale jeżeli widzimy, że coś się nam w tej zbiorowości nie podoba, starajmy się temu przeciwdziałać, a nie tak, jak niestety często się dzieje — ulegamy temu co jest łatwiejsze i wygodniejsze.

UROCZYSTE OTWARCIE ROKU SZKOLNEGO W SAN GIORGIO

Dnia 7 grudnia b.r. odbyło się w S. Giorgio otwarcie roku szkolnego w gimnazjum i liceum dla ochotniczek P.S.K. 2. Korpusu. Już to, że 220 ochotniczek, wśród których połowa niedawno przybyła do nas, może uczyć się w polskiej, wolnej szkole, nastraja uroczystość. Losy tych kobiet, ich przejścia ponure i straszliwe — przobraziły się znowu w szkolną młodzież. Stało się to dzięki 2. Korpusowi, którego Oddział Oświaty organizuje szkolnictwo w ramach wojska.

Uroczystość otwarcia roku szkolnego zaszczytlił swoją obecnością i wzruszeniem st. och. Trzecińska, poczem nastąpiło zwiędzenie szkoły i interratu, oraz odbył się wspólny obiad. W czasie obiadu przemawiał szef Oddziału Oświaty ppłk. Aleksandrowicz i kierowniczką nauczania p. Dobkowa. Na zakończenie zabrał głos gen. Bohusz Szyszko, który powiedział m. inn.:

„Cieszę się, że mogę osobiście życzyć wam powodzenia w nauce i powitać was w naszej szkole. Te wszystkie szkoły i kursy, które 2. Korpus stwarza, to nasz dorobek pracy obywatelskiej, ciężkiej pracy dla Polski. Idziemy do Polski Wolnej i Niepodległej. Droga nasza jest długa i ciężka. Musimy w tej drodze odganiać i wyłączać wszystko to, co tam w Kraju budować wszystko to, co tam w Kraju jest zburzone. W tej pracy naszej nie jest osamotnieni. Polonia Amerykańska, Polacy rozsiani na całym świecie, wreszcie opinia Zachodu rozumie, że jeśli raz odstąpi się od ideałów Honoru i Uczciwości, to zabrnę się w drogę bez wyjścia.

„Kraj patrzy na nas, jako na jedyną oazę wolnej polskiej myśli, polskiego słowa... I dlatego ta wasza praca w tej szkole jest tak ważna. Wiem, że do tej pracy nie trzeba was namawiać. Wśród

Piszę jak koleżanka do koleżanki, więc sędzę, że mogę poruszyć też zagadnienie, naszą kobiecie obchodzące, jako zasadnicze dla naszej przyszłości, mianowicie ocenę naszej postawy i zachowania się. Jest opinia, z którą dziś, bardziej niż kiedykolwiek, musimy się liczyć, bo już nie jesteśmy „własnością” tylko samych siebie i swoich bliskich, ale jesteśmy częścią zbiorowości, na którą się patrzy i o której się mówi — dziś może bardziej jeszcze i ostrzej, niż dawniej. I przysłowie „jak cię widzą tak cię piszą”, nie jest pozabawione zasadniczego sensu. Patrząc od tej strony, niejednokrotnie napewno zauważyłyśmy (może nawet na własnym przykładzie), że jeżeli do człowieka przyczepi się opinia, chociaż w rzeczywistości najzupełniej niesłuszna, to po pewnym czasie, ten sam człowiek ukształtuje się na tej opinii tak, „jakby go chciano widzieć”.

Kończąc, proszę, byś nie rozumiała tego listu jako moralizatorstwa, gdyż chodziło mi jedynie o problem kształcenia samej siebie. Może tych kilka wypowiedzi pozwoli niejednej z nas na odnalezienie szeregu innych zagadnień, nad którymi chciałybyśmy pracować.

Jadwiga

tych 13 tysięcy żołnierzy 2. Korpusu, którzy od nas odeszli, nie było ani jednej kobiety. Myślę, że stało się to dzięki kobiecej intuicji, która wskazuje prawdziwą i słuszną drogę życia, i dzięki młodości ducha... Przez sześć lat walki o Polskę kobiety polskie wykazały obowiązkowość, rzetelność i odwagę. Za to wam wszystkim w imieniu 2. Korpusu dziękuję i życzę: „Szczęść Boże!”

Dowódca Korpusu podziękowała wrazami pełnymi wdzięczności i wzruszenia st. och. Trzecińska, poczem nastąpiło zwiędzenie szkoły i interratu, oraz odbył się wspólny obiad. W czasie obiadu przemawiał szef Oddziału Oświaty ppłk. Aleksandrowicz i kierowniczką nauczania p. Dobkowa. Na zakończenie zabrał głos gen. Bohusz Szyszko, który powiedział m. inn.:

„Gdziekolwiek byliśmy, opiekowaliśmy się ludnością cywilną, a przede wszystkim kobietą i dzieckiem. Ile pracy i trudu kosztowało przeprowadzenie tego, aby w zaraniu tworzenia się naszej Armii w ZSRR przyjęto do niej kobiety! Ale gen. Anders uwziął się, że tak być musi. Bo każdy: kobieta, czy dziecko — jest dziś żołnierzem i dopiero ta całość składa się na Naród... Jak w wojsku liniowym, tak i wśród kobiet nasze uzupełnienia były przed nami. Przyszło do nas wiele kobiet, dla których wolność zaczęła się z chwilą upadku Niemiec. Dziś wszystkie razem — te, które idą z nami od Rosji sowieckiej i te nowe — będą się uczyły w tej szkole, by później w Kraju same być nauczycielkami, mieć fach i wiedzę. Życzę wam w tej pracy, moje drogie dziewczęta, dobrych wyników. A na cześć tego, który nam w tej pracy dla Wolnej Polski przewodzi, na cześć gen. Andersa wzniesmy okrzyk: „Niech żyje!”

KRONIKA

Święto Niepodległości w osiedlu Barletta

Uroczystości obchodu Święta Niepodległości rozpoczęły się w Barletta koncertem, w czasie którego odegrano i odśpiewano szereg pieśni polskich, i odczytem por. P. O godzinie 9 w starej katedrze (zbudowanej przez Ryszarda Lwie Serce w XI wieku) arcybiskup włoski Petronelli don Francesco odprawił uroczystą Mszę św., w czasie której kazanie w języku polskim i włoskim wygłosił ks. Król, proboszcz Rejonu Osiedli Polskich w Italii. — Po nabożeństwie odbyła się Akademia, która rozpoczęła się dwuminutowym milczeniem dla uczczenia pamięci poległych w dwu wojnach światowych, po czym studenci włoscy wręczyli Komendantowi R.O.P.I. wiązaną białoczerwoną kwiatów, składając życzenia promiennej przyszłości dla Polski. Duża sala kina „Paolillo” długo rozbrzmiewała okrzykami „Viva la Polonia” i „Niech żyje Italia”. Z kolei por. P. przedstawił historię walk narodu polskiego o niepodległość. Część pierwszą uroczystości zakończono odśpiewaniem hymnu narodowego. Chór chłopców szkoły powszechnej wykonał pieśni „Gaude Mater Polonia” i „O Święty Kraju nasz”, następnie na tle mapy Polski uczennice szkoły powszechnej, w inscenizacji słowno-muzycznej, przedstawiły dzieje walk narodu polskiego od pierwszych rozbiorów do dnia dzisiejszego. Inscenizacja pt. „Monte Cassino” zakończyła akademię. Wieczorem odbyło się „ognisko” harcerskie przy udziale władz i zaproszonych gości.

Kronika P. S. K.

Dom Wypoczynkowy PSK 2. Korpusu mieści się w pięknie położonym hotelu S. Gottardo w Como. Zadaniem Domu jest umożliwienie ochotniczkom PSK i siostrzom spędzenie urlopu w jak najlepszych warunkach. Zarząd domu dokłada wszelkich starań, ażeby urozmaicić pobyt przebywającym tu na urlopie i współpracuje z Hotelem Oficerskim i Do-



W Pahiatua, Nowa Zelandia. Grupa polskich dziewcząt przed przedstawieniem Jasełek

mem Żołnierza przez branie udziału w imprezach i zabawach. W październiku odbyły się dwie zabawy taneczne. Zorganizowano również dwie wycieczki, do Lago Maggiore i Lago Leco. Dom Wypoczynkowy posiada 67 miejsc dla urlopowanych (10 dla małżeństw). Opiekę lekarską sprawuje Ośrodek Wypoczynkowy 2. Korpusu. Higiena jest ściśle przestrzegana, a w okresie przerw w przyjeździe ochotniczek przeprowadza się oczyszczanie całego budynku.

Ochotniczki PSK — 7 D. P. przygotowują świąteczną kolację i gwiazdkę w ramach stałej opieki nad jedną klasą szkoły powszechnej w Barletta.

Może to piękna inicjatywa zachęca ochotniczki innych oddziałów, aby zaangażowały się pozostałymi klasami tej szkoły.

W szpitalu wojennym nr. 5 zorganizowano, dla ochotniczek — sanitariuszek i

kucharek, kurs z zakresu 6 klas szkoły powszechnej.

Pluton PSK — 7 D.P. urządził dziesięciodniową wycieczkę do Rzymu i na Monte Cassino. W wycieczce wzięło udział 14 ochotniczek.

Szpital wojenny nr. 340 urządził wycieczkę do Neapolu i Rzymu, w której uczestniczyło 15 ochotniczek PSK.

20 ochotniczek PSK ze Szpitala nr. 6 wzięło udział w tygodniowej wycieczce do Rzymu i na Monte Cassino; wycieczkę zorganizował Pluton PSK Szpitala nr. 6.

3 grudnia b. r. w obozie ochotniczek PSK Macerata rozpoczął się czternastodniowy dokształcający kurs świetlicarski.

15 listopada b. r. rozpoczął się rok szkolny w Liceum i Gimnazjum PSK w San Giorgio. Stan liczebny uczennic wynosi 220.

TREŚĆ NUMERU

- | | | | |
|---|-------------------|---|---------------------|
| 1. Śpiewa Maria Panna Synowi | Beata Obertyńska | 12. Felieton wigilijny | |
| 2. Nasza odpowiedzialność | Hilina Czarłocwa | 13. Eliksir życia | Barbara Toporska |
| 3. Pomniki — czy ludzie? | Wiesław Wólnout | 14. Liwia | Henryk Mojeński |
| 4. Czemu nie w chórze | Cyprian Norwid | 15. „Lizie żołnierza” | K. Lanckorońska |
| 5. Intermezzo | Roman Dąbrowski | 16. „Króliki” | Henryk Swolkień |
| 6. „Święte powiernictwo”, okupacja i kartka wyborcza | Jarostaw Żaba | 17. Narty | Zofia Górka |
| 7. Rozmowa o ojczyźnie | Jerzy Buzarewski | 18. Gościenna Szwecja | Franciszek Figurer |
| 8. O was tu chodzi (przemówienie Ojca Świętego) | | 19. „Stworzenie domu” — poszło na wojnę | Danuta Stypułkowska |
| 9. Cłłopi | St. Włodarz | 20. Kobieta i polityka | Dr C. S. Lin |
| 10. Sybirak — Legionista — Prezes | Hermina Naglerowa | 21. O rące serca | Sylwester Mora |
| 11. Kolęda w górach | Maryna Chwalibóg | 22. Znalazłam dom | Józef Brzeziński |
| | | 23. Otwarcie roku szkolnego w S. Giorgio | Barbara Kłosowska |

Odpowiedzi Redakcji. — Listy do Redakcji. — Kronika

WŁOCHY, 1945 r.

„Ochotniczka” ukazuje się raz w miesiącu — Cena 20 lirów

Wydawca: Oddział Kultury i Prasy 2 Korpusu
Redaktorka Naczelna: dr Hermina Naglerowa
Adres redakcji i administracji: Polforces CMF 62

„Ochotniczkę” nabywać można w Referatach
Kultury i Prasy 2. Korpusu, w Oddziałach P.S.K.
w Kantynach polowych, oraz w Świetlicach

TŁOCZONO w DRUKARNI POŁOWEJ